

Polonika

28 Jahre Polonika 

Österreich € 3,00

Nr. 3 (296)

Mai / Juni 2023

Erscheint seit 1995

ISSN 1814-0750

PISMO POLONII AUSTRIACKIEJ

MAGAZIN DER POLEN IN ÖSTERREICH

Nr 3 (296)

maj / czerwiec 2023

Ukazuje się od 1995



Legends starego Wiednia

✓ Emigracyjna historia

✓ Ewa Kasp i Oida!

✓ Rozmowa z Tomaszem Wabnicem

✓ VII Marsz Pamięci Mauthausen - Gusen

✓ Polskie pamiątki w Austrii





Liebe Leserinnen und Leser!

Wien ist nicht nur die schönste Stadt zum Leben, nicht nur ein Ort großer musikalischer Ereignisse, eine Stadt großer Ausstellungen oder großer Feste. Es ist eine Stadt, die ihre Sagen schätzt und immer wieder erzählt. Sagen wurden mündlich überliefert, aber im Gegensatz zu Märchen spielt sich ihre Handlung an einem bestimmten Ort ab. Sie beziehen sich auf historische Figuren und Ereignisse. Sie können auf den Spuren dieser Sagen wandeln und Orte besuchen, die zum

Beispiel mit dem lieben Augustin oder dem Basilisken in Verbindung gebracht werden. Der Leiter des Bezirksmuseums Innere Stadt, Kurt Kospach, Autor des Buches Alt-Wiener-Sagen, erzählte uns von Wiener Sagen. Lernen Sie unbedingt Wiener Sagen kennen, auch solche mit polnischen Akzenten, damit Sie die Stadt besser kennen und verstehen lernen.

Wir werden weiter in Wien bleiben: diesmal in der Stadt der Musik, die den hervorragenden Geiger Tomasz Wabnic angezogen hat. Er hat ein Orchester gegründet, in dem Musiker aus mehr als 20 verschiedenen Ländern spielen, und was sie eint, ist, dass sie an den Wiener Musikhochschulen studiert haben. Tomasz Wabnic wird über die Aktivitäten der Morphing Chamber Orchestra und seine vielen anderen Projekte sprechen.

Wiens berühmtestes OIDA wird von einer österreichischen Schauspielerin polnischer Herkunft, Ewa Kasp, gesprochen – lernen Sie diese interessante Person kennen. Und wussten Sie, dass der beste Erbauer eines alten Musikinstruments, des Harmoniums, ein in Wien lebender Pole war, Teofil Kotykiewicz?

Ich empfehle weiters alle anderen Artikel der Mai/Juni-Ausgabe zu sozialen, rechtlichen, historischen oder kulturellen Themen.

Drogi Czytelniczki, drodzy Czytelnicy!

Wiedeń jest nie tylko najlepszym miastem do życia, nie tylko miejscem wielkich wydarzeń muzycznych, miastem wspianych wystaw czy wielkich festiwali. Jest miastem, które pielęgnuje i opowiada wciąż na nowo swoje legendy. Legendy były przekazywane ustnie, ale w przeciwieństwie do bajek, ich akcja rozgrywa się w konkretnym miejscu. Nawiązują one do postaci i wydarzeń historycznych. Można wędrować śladami tych legend, odwiedzić miejsca związane choćby z dobrym Augustynem czy też bazylikiem. O wiedeńskich legendach opowiedział nam kierownik Bezirksmuseum Innere Stadt, Kurt Kospach, autor książki *Alt-Wiener-Sagen*. Poznajcie koniecznie wiedeńskie legendy, w tym także te z polskimi wątkami, dzięki nim poznacie i lepiej zrozumiecie to miasto.

Nadal pozostaniemy w Wiedniu: tym razem w mieście muzyki, które przyciągnęło znakomitego skrzypka Tomasza Wabnicę. Założył on orkiestrę, w której grają muzycy z ponad 20 różnych państw, a łączy ich to, że ukończyli wiedeńskie akademie muzyczne. Tomasz Wabnic opowie o działalności Morphing Chamber Orchestra i wielu innych swoich projektach.

Najstynniejsza wiedeńska OIDA wypowiedziała austriacka aktorka polskiego pochodzenia, Ewa Kasp – poznajcie tę ciekawą osobę. A czy wiecie, że najlepszym budowniczym dawnego, popularnego instrumentu muzycznego – fisharmonii, był mieszkający w Wiedniu Polak, Teofil Kotykiewicz?

Polecam wszystkie pozostałe teksty numeru majowo-czerwcowego dotyczące problematyki społecznej, prawnej, historycznej czy kulturalnej.

Stawomir Iwanowski

Polonika

Redakcja – Impressum

Redaktion Polonika:

Graben 12, Vienna Office Center, 1010 Wien,
Tel./Fax: 0043 1/292 34 81,
Mobil: +43 664 100 82 98,
e-mail: redaktion@polonika.at,
redakcja@polonika.at, www.polonika.at

Chefredakteur:

Sławomir Iwanowski

Redaktionsteam:

B. Bartusiak, A. Burzyński, A. Haar, M. Hruz,
H. Iwanowska, N. Jadach, R. Kowalewski,
J. Kwiecień-Pogon, D. Krzywicka-Kaindel,
M. Marszałkowska, M. Michalski,
B. Niedźwiedzki, E. Proske, M. Sekulska,
K. Sima, E. Steinhardt.

Werbung: Tel. +43/664 100 82 98

Layout: Mirosław Jurczak

Vertrieb: Österreich (Presse Großvertrieb
Austria Trunk GmbH)

Medieninhaber, Verleger und Herausgeber:
Österreichisch-Polnischer Verein für
Kulturfreunde „Galizien“

Polonika erscheint 6 mal im Jahr.

Offenlegung gemäß 25§Mediengesetz.

Grundlegende

Richtung: Magazin in polnischer und
deutscher Sprache: Regeln und Vorschriften,
Information aus Wirtschaft, Kultur, Kunst und
Sport, Integration.

Die Publikation von Texten und Inseraten erfolgt durch die Redaktion unter dem Vorbehalt der jederzeitigen Veröffentlichungsabsage von Inhalten die der grundlegenden Richtung als auch den marktwirtschaftlichen Interessen des Mediums widersprechen.

Namentlich gekennzeichnete Artikel müssen nicht unbedingt mit der Meinung der Redaktion übereinstimmen. Keine Haftung für den Inhalt der Anzeigen.

Prenumerata Poloniki:

tel. 00436641008298,

e-mail: redaktion@polonika.at

Cena rocznej prenumeraty Poloniki

w wersji cyfrowej wynosi 15 euro.

Cena rocznej prenumeraty Poloniki w wersji papierowej wynosi 39 euro (włącznie z kosztami przesyłki pocztowej).

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania oraz skracania tekstów. Za treść reklam, ogłoszeń i tekstów sponsorowanych nie odpowiadamy.

Projekt finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu Polonia i Polacy za Granicą 2023.

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.





Mec. Aleksandra T. Fux
Kancelaria Adwokacka
1010 Wien, Saltzorgasse 7

Polskojęzyczna Mecenas Aleksandra T. Fux oferuje szybkie oraz profesjonalne doradztwo oraz pomoc prawną w wielu dziedzinach prawa austriackiego.

fux law
KANCELARIA ADWOKACKA

Prawo Rodzinne

Prawo Nieruchomości

Prawo Spadkowe

Prawo Cywilne

Prawo Transportowe

Prawo Firmowe

Prawo Karne

Języki: Polski, Niemiecki oraz Angielski

Telefon: +43 1 205 80 90
E-Mail: office@fux-law.at
www.fux-law.at

CMC

Convalexius
Medicalaesthetic
Center

A-1230 Wien-Mauer
Endresstraße 125
Ärzte: +43 (1) 889 23 19
Kosmetik: +43 (1) 886 23 44
www.dr-convalexius.at

Ärztzentrum Medizin & Ästhetik

In dem gemeinsamen Ärztzentrum von Dr. Anna und Dr. Patricia Convalexius wird neben klassischer Hautheilkunde auch eine Vielfalt an ästhetisch-medizinischen Leistungen angeboten. Dr. Patricia Convalexius offeriert darüber hinaus **innovative Lasertherapien zur Haarentfernung** an Gesicht und Körper mit dem **NEUESTEN MEDIOSTAR LASER VON ASCLEPION** – mit dem sich zusätzlich **Rosazea, Angiome, Besenreiser, Äderchen, Pigment- und Altersflecken behandeln lassen.**



*Dr. A. Convalexius
Dermatologie



*OA Dr. A. Franczak
Gefäßchir., Venen



*Dr. P. Convalexius
Dermatologie



Dr. C. Aliman
Psychiatrie



Mag. C. Angelov
Medizinische Assistentin



A. Fontu
Medizinische Assistentin



Andrea Sterba
Kosmetik

* Mówią po polsku

Dr. A. Franczak ist in unserer Praxis seit Sommer 2021 als Konsiliararzt für Venenuntersuchungen (Duplex) zuständig. Dr. C. Aliman ergänzt unser ganzheitliches med. Angebot.

Dr. Patricia Convalexius bei der Laser-Therapie mit dem NEUESTEN MEDIOSTAR LASER VON ASCLEPION

Foto: Viktoria Kühn

Temat numeru

Kocham wiedeńskie legendy

Kurt Kospach z Bezirksmuseum Innere Stadt

Legendy starego Wiednia

Gdy fikcja miesza się z faktami

Legenda o polskim orle

Było to za czasów Jana III Sobieskiego

Legenda o Krwawej Hrabinie

Elżbieta Batory, ofiara spisku

Rozmowa „Poloniki”

Nie ma trudnych rzeczy

Wywiad z wybitnym muzykiem, Tomaszem Wabnicem

Społeczeństwo

Malinowa Mama

Życie z dzieckiem z niepełnosprawnością

Grupa Rodzinna Al-Anon w Wiedniu

Gdy cierpisz z powodu picia bliskiej osoby

Oida!

Ewa Kasp - promotorka Wiednia

W poszukiwaniu siebie

Emigracyjna historia

Opowiadanie

Suknia ślubna

Konsekwencje pewnej nieuprzejmości

Polskie pamiątki w Austrii, cz. XXVIII

Firma Kotykiewicz

Polscy budownicy fisharmonii w Wiedniu

Polityka

Wizyta w Wiedniu

Spotkanie prezydentów Polski i Austrii

Vademecum Polaka w Austrii

Alimenty na byłego małżonka

Podstawa prawna, wysokość

Fotoreportaż

Rocznica wyzwolenia obozów koncentracyjnych**Mauthausen-Gusen**

Marsz Pamięci

Kultura

Wiedeń zupełnie „inaczej”

Kilka typowo wiedeńskich „smaczków”

Dążyć do doskonałości

Rozmowa z reżyserem Mikołajem Grabowskim

Sport

IV Gala Sportu Polonijnego w Austrii

Przyznane tytuły i wyróżnienia

Dyżur psychologiczny

Bezpłatne porady

Psycholog Elwira Dubas

Prawo

Pomogliśmy czytelnikom

Telefoniczne porady prawne

Deutschsprachige Texte

Agencja Gołuchowski

Polnisch-österreichischer Politiker und Außenminister Österreich-Ungarns

Okładka: Fot. Mysticsartdesign/Pixabay

str. 6

str. 7

str. 9

str. 10

str. 12

str. 16

str. 18

str. 20

str. 22

str. 26

str. 28

str. 31

str. 32

str. 33

str. 34

str. 36

str. 37

str. 38

str. 39

str. 40



str. 6



s. 22



str. 10



s. 26



str. 12



s. 31



str. 20



s. 33

Leitthema

Ich liebe Wiener Sagen

Kurt Kospach vom Bezirksmuseum Innere Stadt

Sagen des alten Wien

Wenn sich Fiktion mit Fakten vermischt

Die Sage vom polnischen Adler

Es geschah zur Zeit von Johann III. Sobieski

Die Sage von der Blutigen Gräfin

Elisabeth Báthory, Opfer einer Verschwörung

„Polonika” Gespräch

Es gibt keine schwierigen Dinge

Interview mit dem erfolgreichen Musiker Tomasz Wabnic

Gesellschaft

Himbeermama

Leben mit einem Kind mit Behinderung

Al-Anon Familiengruppe in Wien

Wenn Sie unter dem Alkoholkonsum eines geliebten Menschen leiden

Oida!

Ewa Kasp - Promotorin von Wien

Auf der Suche nach sich selbst

Eine Auswanderungsgeschichte

Erzählung

Das Brautkleid

Die Folgen einer gewissen Unhöflichkeit

Polnische Spuren in Österreich, Teil 28

Firma Kotykiewicz

Polnische Harmoniumhersteller in Wien

Politik

Ein Besuch in Wien

Treffen der Präsidenten von Polen und Österreich

Vademecum der Polinnen und Polen in Österreich

Unterhaltszahlungen für einen früheren Ehegatten

Rechtsgrundlage, Höhe der Beträge

Fotoreportage

Jahrestag der Befreiung der Konzentrationslager**Mauthausen-Gusen**

Gedenkmarsch

Kultur

Wien ganz „anders”

Einige typisch wienerische „Geschmäcker”

Streben nach Spitzenleistungen

Gespräch mit dem Regisseur Mikołaj Grabowski

Sport

4. Sportgala für Auslandspolen in Österreich

Verlebene Titel und Auszeichnungen

Psychologische Hilfe

Kostenlose Beratung

Psychologin Elwira Dubas

Recht

Wir halfen unseren LeserInnen

Telefonische Rechtsberatung

Deutschsprachige Texte

Agencja Gołuchowski

Polnisch-österreichischer Politiker und Außenminister Österreich-Ungarns

Cover: Fot. Mysticsartdesign/Pixabay

s. 6

s. 7

s. 9

s. 10

s. 12

s. 16

s. 18

s. 20

s. 22

s. 26

s. 28

s. 31

s. 32

s. 33

s. 34

s. 36

s. 37

s. 38

s. 39

s. 40

Kocham wiedeńskie legendy

W Bezirksmuseum Innere Stadt spotykamy się z Kurtem Kospachem, kierownikiem Muzeum, zakochanym w historii Wiednia i w jego legendach.

Rozmawia Patrycja Brzoza



Kurt Kospach w Bezirksmuseum Innere Stadt

Z wykształcenia jest Pan inżynierem. Jak to się stało, że zainteresował się Pan historią?

– W czasie nauki w technikum miałem ogromne szczęście, że historii uczył nas bardzo mądry nauczyciel. Były to lata 50., w szkole brakowało wszystkiego, nie mieliśmy nawet podręczników, więc w czasie lekcji musieliśmy wszystko notować. Nasz profesor opowiadał tak ciekawie, że słuchaliśmy wszyscy z zapartym tchem. Potrafił

mądrze mówić o historii, uczył nas myślenia i kojarzenia faktów. I to zostało mi już na zawsze.

Co zainspirowało Pana do zajęcia się legendami wiedeńskimi?

– Od wczesnego dzieciństwa stykałem się z wiedeńskimi legendami. To było oczywiste, że opowiada się je dziecku w domu i analizuje potem w szkole. Stanowią przecież integralną część historii i dziedzictwa kulturowego Austrii.

Czego uczą nas legendy?

– Trzeba zdawać sobie sprawę, że legendy opowiedziane były przez pokolenia, wątki były rozbudowywane, uzupełniane, a zawarte w nich fakty historyczne często zmieniane. Legendy przedstawiają historię z perspektywy ludowej i są przekazywane międzypokoleniowo. Do najstarszych

wiedeńskich legend należy *Die Spinnerin am Kreuz*, która opowiada o wydarzeniu z epoki wypraw krzyżowych we wczesnym średniowieczu, podobnie jak legenda o *Der Stock im Eisen*.

Legendy są nieodłączną częścią zbiorowej pamięci. Fantastyczne jest to, że każda z nich może nas czegoś nauczyć na temat barwnej historii Wiednia, gdyż każda ma związek z jakimś konkretnym miejscem, z konkretnym adresem, który bez trudu można odnaleźć.

Bez znajomości tych legend wiele rzeczy nam umyka, wielu nie potrafimy odczytać.

Które spośród legend z Pana książki poleca Pan szczególnie naszym Czytelnikom? Które lubi Pan najbardziej?

– Nad książką *Alt-Wiener Sagen* pracowałem dość długo wraz z moją żoną. To była żmudna praca w wiedeńskich archiwach. Opowiedzieliśmy na nowo 47 spośród ogromnej liczby wiedeńskich legend. Niektóre są zabawne, inne trochę mroczne, jeszcze inne pouczające. Opowiedzieliśmy oczywiście legendę o Franciszku Kulczyckim, którą zapewne większość Polaków zna. Nasza nosi tytuł *Der Kundschafter Koltschitzky (Szpieg Kulczycki)*. Wiadomo, że na budynku przy Domgasse 8 widnieje tablica upamiętniająca Kulczyckiego.

Według legendy był założycielem pierwszej kawiarni w Wiedniu, ale źródła historyczne mówią co innego – pierwsza kawiarnia w Wiedniu powstała 20 lat wcześniej. W styczniu 1685 roku Ormianin Johannes Deodat otrzymał przywilej serwowania kawy. Ta pierwsza wiedeńska kawiarnia mieściła się w Domu Hachenberga na Haarmarkt, dzisiejszej Rotenturmstraße 14. W naszej książce opowiedzieliśmy też o Stanisławie Kostce, którego kaplica znajduje się na rogu Steindlgasse i Kurrentgasse.

Kocham wszystkie legendy wiedeńskie. Każdy niech znajdzie i wybierze dla siebie te najciekawsze. Zbiór legend zawartych w *Alt-Wiener Sagen* cieszy się dużym zainteresowaniem, książka ma już czwarty nakład.

Jest Pan kierownikiem Muzeum Dzielnicy Śródmieścia (Bezirksmuseum Innere Stadt).

– Jestem zakochany w tym niewielkim muzeum, w którym pracuję charytatywnie. Oczywiście są w Wiedniu większe i piękniejsze muzea, ale jeśli ktoś interesuje się szczególnie 1. dzielnicą, to znajdzie u nas dużo ciekawych eksponatów. Trzeba tylko wcześniej się umówić, bo nasze muzeum nie jest otwarte codziennie. Serdecznie zapraszam!

Legendy starego Wiednia

Piękne i barwne, wesołe i zabawne, groźne i straszne – legendy starego Wiednia przybliżają nam historię tego niezwykłego miasta i pozwalają je lepiej zrozumieć.

Anna Wójcik



Odwiedźcie Augustyna na Fleischmarkt 11: wciąż jeszcze gra tam na dudach!

Czym jest legenda?

Podobnie jak bajki, legendy były przekazywane ustnie, ale nie są fikcyjne. Są to opowieści, które lud przez długi czas traktował z wielką powagą, w przeciwieństwie do baśni, którą uważał za popularną rozrywkę.

W legendzie, w przeciwieństwie do bajki, mamy określone, konkretne miejsce akcji. Występują w niej postaci historyczne, nawiązujące do wydarzeń historycznych. Do powstania legend prowadziły często nieszczęścia, takie jak klęski żywiołowe, np. powódzie czy epidemie chorób, np. dżuma, ale także wydarzenia historyczne, jak tureckie oblężenie Wiednia.

Przez kolejne pokolenia treści legend były upiększane i przerabiane. Współcześnie przeznaczone są zazwyczaj dla dzieci i omawiane tylko w szkole podstawowej. Ale nie zawsze tak było: dawniej legendy były integralną częścią edukacji dorosłych. Przyjrzyjmy się kilku przykładom wiedeńskich legend i zobaczymy, jak fikcja miesza się w nich z historycznymi faktami.

Czas dżumy

Najbardziej znana legenda zawierająca wątek dżumy opowiada o dobrym Augusty-

nie (*Der liebe Augustin*). Ten uliczny śpiewak najchętniej spędzał czas w karczmie „Pod czerwonym daszkiem” na Fleischmarkt. W 1679 roku, w czasach, gdy zaraza siała wielkie spustoszenie, Augustyn wypił za dużo wina, zasnął na ulicy – a służba sanitarna, sądząc, że to kolejna ofiara zarazy, wrzuciła go do zbiorowej mogiły. Dzięki temu, że miał przy sobie dudy, na których zaczął grać, usłyszeli i uratowali go przechodnie. Augustyn po tej niemiłej przygodzie dalej śpiewał w karczmie, a piosenka „O du lieber Augustin” śpiewana jest do dzisiaj.

W Wiedniu dobrze znany jest morał tej legendy: „Pij jak najwięcej wiedeńskiego wina, bo ono uratuje cię nawet od dżumy!”. A najlepiej świętuje się w Griechenbeisl, czyli dawnej karczmie „Zum roten Dache” am Fleischmarkt 11, gdzie Augustyn grał na swoich dudach. Zajrzyjcie tam koniecznie! Bywali tam Beethoven, Brahms, Wagner i Schubert. To tu komponował Johann Strauss ojciec. Sufit jednej z sal pokryty jest podpisami słynnych gości.

O Augustyna i miejsce zbiorowej mogiły w czasie dżumy upominają się dwie dzielnice. W 7. dzielnicy znajduje się Augustinbrunnen (Fontanna Augustyna), w 3. dzielnicy na Kardinal-Nagl-Platz o tym samym wydarzeniu informuje tablica na fasadzie domu: *Dół morowy, w którym Augustin spędził noc, znajdował się w pobliżu Kardinal-Nagl-Platz*.

Oblężenie tureckie

Podczas pierwszego oblężenia Wiednia w 1529 roku Turcy zaczęli stosować technikę podkopów. Świadczy o tym legenda *Zum Heidenschuss*. Na rogu ulic Heidenschuss i Strauchgasse była podobno piekarnia, w której piekarze kładli groch na bębny. Kiedy te zaczęły podskakiwać, wiedzieli, że wróg zaczął drążyć tunel pod murem miasta. Na końcu tego tunelu składano wówczas beczki z prochem, zamuroywano i detonowano za pomocą zapalnika. Tak czujność piekarzy uniemożliwiła Turkom realizację ich planu.

Mniej znana jest legenda o wiedeńskim piekarzu, który wypiekł pierwszego bajgla dla króla Jana III Sobieskiego, aby uhono-

rować go za wygraną bitwę 12 września 1683 roku. Kształt miał być wzorowany na strzemieniu siodła i podkreślać, jak znakomitym jeźdźcem był polski król. Królowi tak posmakowały bajgle, że przywiózł je ze sobą do Polski. Źródła historyczne potwierdzają, że bajgle królowały na polskich stołach aż do końca XIX wieku. Niestety, do dziś przetrwał tylko uboższy i dalszy krewny bajgla, czyli krakowski obwarzanek.

Miarka do chleba i klatki dla piekarzy

Piekarze pojawiają się kilka razy w wiedeńskich legendach, co świadczy o tym, jak ważną rolę odgrywał ten fach w życiu miasta. Chleb był w średniowieczu podstawowym pożywieniem, dlatego też jego kształtom nadawano formy nadające moc: *Salzstangerl* (długa bułka) reprezentował męskość, *Baunzerl* (bułka z rozcięciem) – kobiecość.

Wielu wiedeńczyków zna koło jako miarę do chleba. I takie koło znajduje się na lewo od głównego wejścia do katedry św. Szczepana. Wiedeńczycy mieli więc możliwość zmierzenia wielkości bochenka chleba w kole. Jeśli piekarz został oskarżony o oszustwo, groziła mu surowa kara: *Bäckerschupfen*.

Bäckerschupfen jest często uważany za legendę, ale była to historycznie potwierdzona forma kary dla piekarza, który dopuścił się jakiegoś oszustwa. Oskarżonego wkładano do drewnianej klatki i za pomocą dźwigni, zwykle kilkakrotnie, zanurzano w Dunaju. Zwyczaj istniał od XIII wieku (w 1550 roku doszło nawet do śmierci). Syn cesarzowej Marii Teresy, cesarz Józef II, zniósł tę karę i ostatni raz miała ona miejsce w 1773 roku.

Historia o kole jako miarce do chleba jest jednak wymysłem. Do 1880 roku wejście główne do katedry św. Szczepana zamykane było na kratę i odciski na murze świątyni pochodzą od haków, które ją przytrzymały.

Bazyliżek – Spassilisk – Babazi

Legenda o bazyliżku, który zatrzał wodę w studni, przypomina nam, że w dawnych czasach wielu wiedeńczyków musiało cierpieć z powodu złej jakości wody, a czasem nawet umierać z tego powodu. Ponadto, ze względu na warunki geologiczne, felema, cuchnąca woda siarkowa podnosiła się, zamieniając w straszną, śmierdzącą bestię. Została jednak ona pokonana! Jak? Krążą na ten temat różne historie.

Wspomniany w legendzie Dom Bazyliszka znajduje się przy Schönlaterngasse 7, oznaczony szyldem „Zum Basilisken”. Mury piwniczne tego domu pochodzą częściowo z XIII wieku. Między oknami drugiego piętra we wnęce w ścianie znajduje się dziwny, kamienny ptak. W rzeczywistości jest to kogut z piaskowca z doczepionym żelaznym dziobem i ogonem, który na głowie ma złotą koronę. Według legendy dziwne zwierzę, którego wizerunek widnieje na froncie domu, przebywało w głębokiej studni podwórza.

Rankiem 12 czerwca 1212 roku bazyliśzek został podobno znaleziony w studni domu. Przyniesiono ciężkie kamienie i wypełniono studnię, uwalniając w ten sposób całe miasto od tego straszego potwora. Inna wersja tej historii mówi, że na powierzchni studni ustawiono lustro. Bazyliśzek spojrzął na siebie w lustrze i sam zamienił się w kamień.

Nie bez przyczyny w restauracji przy Schönlaterngasse znajduje się popularna wśród wiedeńczyków restauracja „Zum Basilisken” i... mnóstwo w niej luster.

Bazyliśzek jest ponadto wszechobecny w krajobrazie Wiednia: obok Schönlaterngasse jego wizerunek znaleźć go można na Anker Uhr, w Stadtparku czy na Praterze. W tym ostatnim, w strefie wejściowej, przeobraża się

w Spassiliska (od słowa Spass – rozrywka). Również na Praterze przeszedł kolejną metamorfozę: przeobraził się w Babazi, którego stworzył zespół marketingowy. Wszystkie wcielenia bazyliśzka można zobaczyć w gabinetach figur woskowych Madame Tussaud's.

Rübezahl i Brama Olbrzyma

Duchy leśne i wróżki często pojawiają się w legendach Lasu Wiedeńskiego. Tak jest w przypadku *Agnesbrünnl* – legendzie o źródle Agnes. Tło legendy stanowi wojna 30-letnia. Ducha gór Rübezahl można spotkać przy Austriabrunnen (Fontanna Austrii) na Freyungu. Nie jest to przypadek, gdyż legendy są zawsze związane z konkretnymi miejscami.

Rübezahl pochodzi z Karkonoszy i stamtąd właśnie wypływa Łaba, której personifikacją są rzeźby na fontannie (przedstawiające także Pad, Dunaj i Wisłę). Według legendy duch mieszka w Karkonoszach, które dziś leżą na terenie Polski i Czech (po czesku mówi się na niego *Krakonoš*).

Wydarzenia historyczne w dziejach miasta również dały początek legendom, które do dziś są znane.

A dużo więcej dowiedzie się podczas „Spaceru z Poloniką”, na który serdecznie zapraszamy!



Gdy w Wiedniu zapada zmrok, ożywają postacie z legend!

Śladami wiedeńskich legend

Data: niedziela, 18 czerwca 2023, godz. 16.00
Spotkanie: Eissalon am Schwedenplatz, Franz Josefs Kai 17, 1010 Wiedeń
Dorośli: 10 euro, dzieci od 6 do 12 lat: 5 euro, dzieci do lat 6: gratis.
Oprowadza licencjonowana przewodniczka Miasta Wiednia, Elwira Rudecka

Legenda o polskim orle

Było to za czasów panowania króla polskiego, Jana III Sobieskiego. Gdy z początkiem września roku 1683, podążając na Odsiecz Wiedeńską, wkroczył on na czele polskiej armii na ziemie austriackie zniszczone przez wroga, nad maszerującym wojskiem pojawił się wielki biały orzeł.

Oprac. Sławomir Iwanowski

Krażył nad nim, jakby je strzegł i wskazywał drogę, zwiastując przy tym rychłe zwycięstwo. Unosząc się na wietrze, podążał za Polakami, dając im siłę i wiarę w pokonanie wroga. Obecność orła będącego symbolem Polski ucieszyła ogromnie wszystkich, co odnotował poeta i żołnierz, Wojciech Stanisław Chruściński, biorący udział w Odsieczy Wiedeńskiej. Tak zapisał to w strofach wiersza:

*Patrzcie, jak dymem austriackie tleją
Wsi, miasta, grody, zamki i pałace
Jak winogrody, pola jałowięją
Z obywateli – wygnañcy, tułacze;
Krwawych tez strumem przenikają nieba;
Boże! Polskiego Orła tu potrzeba!*

Zmierzając na pole bitewne żołnierze obserwowali też inne dziwy, odczytane jako cudowny znak. Na niebie podczas bezchmurnej pogody pokazały się piękne tęcze, a jedna z nich końcami odwrócona była nie w dół, a do góry. Wyglądało to tak, jakby niebiosy uśmiechały się do rycerzy. To przedziwne zjawisko opisał sam król w liście z dn. 31 sierpnia 1683 roku do swej żony, królowej Marysienki: (...) *widzieliśmy na niebie o siódmej z rana, w śliczną i jasną pogodę, tęczę niby małą, w miesiąc właśnie zrobioną, tak jako zwykły bywać kilka dni po nowiu; rzecz to całe niezwykczajna. Myśmy szli niby na zachód, a to się pokazało za nimi, obróciwszy się ku wschodowi, w lewą od stońca; potem z tego miesiąca poczęło się czynić jak na kształt iks, tj. takim kształtem: Trwało to około pół godziny.*

Wszystkie te dziwne zjawiska widziane w czasie drogi na pole bitwy upewniły żołnierzy, że Bóg nad nimi czuwa i zwyciężają, i tak się też stało. Ponoć wielki biały orzeł pojawił się ponownie na niebie nad polską husarią w dniu bitwy. Jego obecność stała się źródłem nadziei i wiary w zwycięstwo dla



polских żołnierzy, którzy walczyli dzielnie o wyzwolenie Wiednia, inspirując się niezłomnym duchem orła.

Zwycięska walka o Wiedeń stoczona 12 września 1683 roku nie była jednakowoż końcem wyprawy wojennej Sobieskiego, który podążył dalej za umykającym przeciwnikiem. Nie wszyscy jednak żołnierze towarzyszyli mu w dalszych bojach. Ci, którzy byli ranni, musieli pozostać w Wiedniu. Wśród nich był niejaki Andrzej Taczanowski, który odzyskawszy zdrowie, zamieszkał w tym mieście i być może za namową swego sławnego rodaka Jerzego Kulczyckiego, twórcy pierwszej kawiarni w Wiedniu, otworzył gospodę przy ulicy Singerstrasse numer 3. Dziś miejsce to oznaczone jest tablicą pamiątkową, na której w języku niemieckim wypisane jest, że Andrzej Taczanowski, rycerz Jana III Sobieskiego, i jego syn Leopold prowadzili tu gospodę, która cieszyła się dużym powodzeniem.

A orzeł znad polskich wojsk? W pierwszą rocznicę Bitwy Wiedeńskiej, najprawdopodobniej 12 września 1684 roku, Andrzej Taczanowski wybrał się na wzgórze Kahlenberg i z ruin nieodbudowanego jeszcze kościoła św. Józefa dostrzegł coś, co nim dogłębnie wstrząsnęło. Otóż na niebie pokazały mu się białe chmury, jako żywo układające się w sylwetkę wielkiego orła.

W ten czas przypomniał sobie to niecodzienne, opisanie wcześniej zjawisko, którego sam przed rokiem był także świadkiem: krążącego na niebie orła i przedziwne znaki na niebie. Opowiedział o tym swemu synowi,

a następnego roku udali się na Kahlenberg razem i znowu ich oczom, zrazu po południu, ukazała się dziwna konfiguracja chmur, jako żywo przypominająca polskiego orła.

Przez kolejne lata, już razem ze swymi rodakami mieszkającymi w Wiedniu, udawali się w kolejne rocznice bitwy na wzgórze Kahlenberg, wypatrując na niebie sylwetki orła, czy raczej już jego ducha, w postaci chmur krążącego nad Wiedniem i przypominającego o niezłomności i odwadze polskiego narodu.

Andrzej Taczanowski zmarł, jego syn zamknął gospodę, a pamięć o orle zanikła na jakiś czas. Po latach historia ta przerodziła się w legendę, która głosi, że w czasie jednej z najważniejszych bitew w historii Polski, gdy polskie wojska starły się z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, orzeł pojawił się na niebie. Rozpostarł swoje skrzydła i krążył nad polem bitwy, a potem spłynął na żołnierzy jak strzała, dając im odwagę i siłę do walki. Legenda o orle, który przewodził polskim rycerzom, a potem strzegł ich podczas bitwy, przekazywana była z pokolenia na pokolenie. Przypominała o dumie, męstwie, niezłomności i odwadze, które charakteryzują polski naród.

Z upływem czasu legenda ta to ulegała zapomnieniu, to ponownie odżywała. A czy nad Wiedniem nadal krąży biały orzeł, niebiański strażnik dzielnych rycerzy Sobieskiego? Przekonać się o tym można samemu, wypatrując go wśród chmur na niebie ze wzgórze Kahlenberg, w kolejne rocznice Odsieczy Wiedeńskiej.

PRAWNIK POLSKI

UDZIELA

FACHOWYCH I RZETELNYCH PORAD I POMOCY W ZAKRESIE:

- Załatwiania wszelkich spraw w urzędach
- Uzyskiwania i przedłużania pozwolenia na pracę
- Rejestracja firm i prowadzenie działalności gospodarczej
- Uzyskiwanie Gewerbeschein
- Pomoc przy sporządzaniu deklaracji podatkowych
- Uzyskiwanie zwrotu kosztów dojazdów do Polski
- Nabywanie praw do emerytury i renty
- Pomoc przy wypełnianiu wszelkich niezbędnych formularzy w tym zakresie
- Dokonywanie rozliczenia podatkowego firmy
- Pisanie wszelkiego rodzaju pism urzędowych
- Nabywanie kredytów na korzystnych warunkach
- Spraw związanych z płaceniem podatku kościelnego
- Wszelkich spraw spornych z pracodawcą w Arbeiter Kammer
- Zawieranie umów mieszkaniowych takich jak Hauptmiete, Untermiete
- Pomoc w uzyskiwaniu świadczeń rodzinnych
- Ubezpieczenia samochodów i osób prywatnych
- Uzyskiwanie odszkodowań z tytułu wypadków samochodowych
- Współpraca z notariuszem i adwokatem
- Tłumaczenie dokumentów w języku polskim i niemieckim
- i wielu, wielu innych sprawach prywatnych i zawodowych

MAGISTER PRAWA MARIA BIERNAT

1200 WIEN, JÄGERSTR.12 (wejście od ulicy) TEL: 2903387 lub 0664/5130562

GODZINY URZĘDOWANIA:

Od poniedziałku do piątku, godz. 15.30 do 20.00.

Krwawa Hrabina

W 1. dzielnicy Wiednia przy Augustinerstraße 12 stoi stara kamienica. W tym niepozornym, mieszczańskim domu miała mieszkać niegdyś kobieta o sadystycznych skłonnościach, która przeszła do historii jako Krwawa Hrabina. Nazywała się Elżbieta Batory i była siostrzenicą polskiego króla Stefana Batorego.

Oprac. Sławomir Iwanowski

Czasami z kamienicy przy Augustinerstraße dochodził tak wielki hałas, że sąsiedzi rzucali doniczkami z kwiatami w okna budynku. To właśnie tutaj krwiożerca szlachcianka oddawała się swoim morderczym pragnieniom. To tutaj odbywały się wielogodzinne tortury, w tym wbijanie igieł w oczy i zaszywanie ust. Jeśli ofiara krzyczała zbyt głośno, hrabianka przecinała jej struny głosowe nożyczkami. Zwabiła do swego domu młode dziewczęta, krępowała, wieszala je za nogi i pobierała ich krew, aby się w niej potem kąpać. Uważała bowiem, że dzięki temu jej skóra staje się jędrna i młoda. Krew dziewic, którą także piła, uznawała za eliksir, który zapewni jej młodość i piękno.

Niemal każdego dnia hrabina wysyła swego zaufanego sługę na wiedeński rynek przy Neuer Markt. Ma on za zadanie szukać samotnych dziewcząt, chcących się zatrudnić jako kucharka lub pokojówka do pani, która gotowa jest płacić ponadprzeciętne wynagrodzenie. Wiele młodych wiedeńskich kobiet jest pod wrażeniem tej obietnicy, godzi się przyjść na służbę. Wkrótce słuch o nich ginie.

Z kamienicy przy Augustinerstraße wciąż rozbrzmiewają nocne hałasy: dochodzi dudnienie i walenie, krzyk i płacz, które powodują, że mnisi z klasztoru augustianów, znajdującego się naprzeciwko, stukają glinianymi garnkami w drzwi do kamienicy hrabianki i żądają ciszy. Nikt nie wie, jaki odbywa się tam horror: Elżbieta Batory torturuje na śmierć zwerbowane dziewczęta przysparzając im nieopisanych cierpień: biczowanie, przypalanie, klucie igłami, cięcie nożyczkami – nie ma chyba metody tortur, której sadystyczna szlachcianka nie stosowała na swoich ofiarach. Latem, jak co roku, wyjeżdża do swoich zamków i na Augustinerstraße wraca spokoj.

Ponoć udowodniono, że Elżbieta Batory zamęczyła około 650 młodych kobiet. I to nie tylko w swoim wiedeńskim domu przy Augustinerstraße 12, ale także w swoich zamkach w Lockenhaus w Burgenlandzie i Čachticach na Słowacji.

Kim faktycznie była Elżbieta Batory?

Urodziła się 463 lat temu, w 1560 roku, a zmarła w 1614 roku w swym zamku w Čachticach, stąd zwana jest Krwawą Hrabianą z Čachtic. Pochodziła z bogatej, szlacheckiej węgierskiej rodziny. Była kobietą wielkiej urody, a przy tym wyjątkowo inteligentną. Miała zaledwie jedenaście lat, gdy starszy o pięć lat węgierski możnowładca, hrabia Franciszek Nádasdy, oświadczył się jej, a w prezencie ślubnym podarował jej kilka zamków wraz z otaczającymi je wsiami. Ślub odbył się cztery lata później, w 1575 roku. Główną siedzibą pary był zamek w Čachticach na terenie dzisiejszej Słowacji, będącej wówczas częścią Królestwa Węgier. Jednak małżeństwo rezyduje również w innych swoich posiadłościach, a podczas długich zimowych miesięcy w wiedeńskim domu przy Augustinerstraße.

Franciszek Nádasdy jako żołnierz większość czasu spędzał na walkach z Turkami. Przyjęło się go określać mianem Czarnego Księcia, gdyż w walkach z Turkami okazał się nie tylko odważny, ale i bezwzględny. Walczył z nimi wielokrotnie i długo, a w tym czasie hrabina żyła samotnie w zamku. Gdy w roku 1604 nagle zmarł, hrabina stała się wyłączną właścicielką ogromnej fortuny i sama zarządzała rozległymi posiadłościami. Okazała się być inteligentną i odnoszącą sukcesy kobietą. I wtedy zaczęły pojawiać się plotki.

że jej mąż zmarł z powodu otrucia. Ale nie to okazało się najbardziej bulwersujące. Po jego śmierci Elżbieta Batory szybko stała się celem poważnych ataków. Samodzielnie zarządzając majątkiem, zaczęła być oskarżana o okrucieństwo wobec swych sług.

Wprawdzie już za życia męża hrabina była pomawiana o to, że zajmuje się okultyzmem i źle traktuje służbę, to po jej owdowieniu zaczęły krążyć jeszcze bardziej makabryczne plotki.

Któregoś dnia Elżbieta w złości miała uderzyć służkę tak mocno, że krew z nosa jej ofiary prysnęła na twarz hrabiny. Elżbieta, spojrzawszy w lustro, miała zauważyć, że w tym miejscu zmniejszyły się jej zmarszczki. Uznała, że znalazła sekret wiecznej młodości: zabiła dziewczynę zaraz potem i wykąpała się w jej krwi. Od tej pory krwawe tortury i morderstwa miały stać się niemalże codziennością. Zabierała wszystkie dziewice z okolicy do swojego zamku, gdzie okrutnie je torturowała, a następnie pobierała ich krew i piła ją, czasem nawet z ich okaleczonych ciał. Gdy chłopcy z okolicznych wsi zaczęli odmawiać oddania swoich córek na służbę do hrabiny, ta zakłada przytułek i szkołę dla dziewcząt, zwabiając w ten sposób kilkaset ofiar z odległych okolic.

W roku 1610, gdy hrabina miała już pięćdziesiąt lat, jej krwawy proceder został przerwany. Książę elektor Jerzy Thurzo, krewny hrabiny, zaalarmowany powtarzającymi się pogłoskami, pod jej nieobecność wkroczył ze swym oddziałem do jej zamku w Čachticach. Poddani Elżbiety Batory pod wpływem tortur wyznali, że ich pani czerpała przyjemność ze znęcania się nad młodymi, służącymi jej dziewczętami. Biła je na krwawą miazgę i kąpała się we krwi niezamężnych kobiet, aby pielęgnować swoją urodę, a swoje ofiary zakopywała w zamkowej piwnicy.

Proces rozpoczął się na zamku kilka tygodni później, 2 stycznia 1611 roku. Stał się wielką publiczną sensacją, na salę sądową ściągali tłumy, by śledzić jego przebieg. Śledztwo było rozbudowane, w ciągu prawie roku przesłuchano 327 świadków. Poświęcony czas i energia miały sprawić wrażenie, że wymiar sprawiedliwości prowadzi dochodzenie w sprawie poważnego przestępstwa i za wszelką dąży do poznania prawdy. Zzna-

jący prześcigali się w swych oskarżeniach. Według ich relacji hrabina kazała swoim pomocnikom zaszytłować kilkadziesiąt dziewcząt, następnie zdarła z siebie ubranie i tarzała się we krwi umierających. Przy innych okazjach wycinała duże kawałki z pośladków młodych kobiet i zmuszała torturowane do jedzenia własnego mięsa. Szwaczki, po wyrwananiu im paznokci, musiały kontynuować pracę w przejmującym bólu. W lodowate zimowe dni Elżbieta czerpała przyjemność z oblewania kolejnych ofiar wodą, aż zamieniały się w lód. W lecie natomiast psy gonity nagie dziewczyny pokryte miodem przez las, gdzie dzięki pszczoły i osy żądliły je na śmierć. Jeden z torturowanych świadków ujawnił schowany w komodzie hrabiny rejestr zbrodni, wedle którego śmierć z rąk Elżbiety i jej sług poniosło 650 kobiet.

Kilku służących hrabiny zostało oskarżonych o współudział w zbrodni, skazano ich na karę śmierci przez ścięcie, a ich ciała spalono na stosie. Elżbieta Batory do końca zarzuciła postawionym jej zarzutom. Orzeczono, że cierpi na histerię, która przerodziła się w szaleństwo. Uniknęła śmierci od miecza, ale spotkała ją jeszcze surowsza kara: 51-letnia kobieta została zamurowana w pokoju wieżowym na zamku w Čachticach. Tylko od czasu do czasu przez mały otwór dostawała wodę i chleb. Wegetując w ciemnicy, wkrótce rzeczywiście popadła w obłęd. Trzy lata później znaleziono ją martwą w celi. Legenda o jej okrucieństwie i kąpielach w krwi do dzisiaj przetrwała i jest jedną z najbardziej znanych historii o seryjnych morderstwach w historii.

Rehabilitacja Elżbiety Batory

Historycy spierają się o to, czy rzeczywiście zrobiła to wszystko, o co ją oskarżano.

To, czy sadystyczne zbrodnie rzeczywiście miały miejsce, zaczęło być szczególnie badane w drugiej połowie XX wieku. Historycy uznali za podejrzany brak naocznych świadków. Świadczyli tylko słyszeli o torturach od innych. Dziwne okazało się także to, że jedyna dziewczyna, która przeżyła tortury, nie została wezwana. Cały proces mógł być więc oparty na sfigowanych lub wyolbrzymionych oskarżeniach.

Należy mieć na uwadze, że odpowiedzi przesłuchiwanym służącym wymuszano torturami. Natomiast szlacheckie przy-

kobiet, brała pod swoją opiekę wdowy po spalonych przez Turków wsiach, zgwałcone i obrabowane dziewczęta i kobiety, niezależnie od ich narodowości. I to jej działania, nietypowe jak na tamte czasy, mogły stać się przyczyną plotek, które przerodziły się z czasem w legendę o krwawej hrabianie.

Co mogło się zatem kryć za pomówieniami? Przez długi czas nikt nie badał motyłów stojących za przesadnymi lub wręcz sfabrykowanymi oskarżeniami. Setki ofiar są niemożliwe, podobnie jak niestawna kąpiel we krwi, ze względu na szybkie krzepnięcie ludzkiej krwi. Współcześnie historycy podejrzewają, że Elżbieta Batory padła ofiarą spisku Habsburgów dążących do zagarnięcia Węgier. W Wiedniu obawiano się, że zamożna wdowa Elżbieta może te plany pokrzyżować. Oskarżono ją więc o obrzydliwe zbrodnie i rozkrecono machiną propagandową.

Nadzór nad sprawą powierzono Jerzemu Thurzo, któremu jako jej krewnemu przypadła znaczna część wielkiego majątku oskarżonej.

Chociaż badania historyków wskazują, że została oskarżona i uwięziona z powodów politycznych i z powodu swojego bogactwa, wciąż jest pamiętana jako żeńskie wcielenie Drakuli. W powszechnej opinii uchodzi za krwiożerczego, sadystycznego potwora, a do rozstrzygnięcia pozostaje jedynie to, czy była wampirem, czy wilkołakiem. Przypadek Elżbiety

Batory, nazywanej „kobietą Dracula”, „upiorem z Čachtic” lub „Krwawą Hrabianą”, jest źródłem fascynacji zwłaszcza dla artystów. Do dziś pozostaje makabryczną bohaterką literatury popularnej, ukazały się na jej temat pełne sensacji piosenki, filmy, komiksy i gry komputerowe. Uczyniono z niej najbrutalniejszą morderczynię wszech czasów.

Elżbieta Batory zyskała międzynarodową sławę dzięki swoim domniemanym okrucieństwom. Podczas gdy zamek w Čachticach od czasu śmierci hrabiny niszczeje, dom przy wiedeńskiej ulicy Augustinerstraße przetrwał wieki bez szwanku i stoi jako niemy świadek tej historii, która stała się legendą.



Portret Elżbiety Batory

wileje Elżbiety Batory chroniły ją przed torturami i w przeciwieństwie do służących nie musiała przyznać się do zbrodni, których nie popełniła. Prawdopodobnie nie chciano nawet hrabiny osobiście postawić przed sądem z obawy przed tym, że sfabrykowane dowody mogły okazać się niewystarczające.

Po wiekach historycy nie potrafili wypracować jednomyślnej opinii w sprawie Elżbiety Batory. Dysponują jedynie kilkoma dokumentami, na podstawie których mogą wyciągać wnioski. Nawet dziś zdania są podzielone, czy hrabina była okrutna i położyła kres życiu wielu niezamężnych kobiet, czy wręcz przeciwnie – założyła szkołę dla

Nie ma trudnych rzeczy

O niektórych ludziach mówi się człowiek-orkiestra. Tomasz Wabnic stał się nim w sensie dosłownym: jest nie tylko skrzypkiem i altowiolistą, ale też menedżerem i dyrektorem artystycznym Morphing Music Institute w Wiedniu. Ilość realizowanych przez niego projektów zapiera dech w pierś... W przerwach między próbami opowiedział nam o swojej bogatej działalności.

Rozmawia Halina Iwanowska

Urodził się Pan w rodzinie z muzycznymi tradycjami. Edukację muzyczną rozpoczął Pan w szkole muzycznej we Wrocławiu. Jak duży wpływ na Pana wybory miał dom rodzinny?

Urodziłem się we Wrocławiu i mój debiut muzyczny w wieku 4 lat odbył się w tym mieście, a w wieku 9 lat z powodów rodzinnych przenieśliśmy się do Częstochowy. Rodzinne muzyczne tradycje są u mnie nieco zachwane, ponieważ po moim dziadku pozostały mi tylko skrzypce. Prawdopodobnie był drugim koncertmistrzem orkiestry we Lwowie.

Nie znam zbyt dobrze historii mojej rodziny, babcia zmarła dość wcześnie, a ja byłem zbyt młody, żeby się dopytywać o szczegóły. Skrzypce dziadka są u mnie w domu, teraz na nich grywa moja córka.

Jak narodziła się miłość do skrzypiec i altówki? Czy ktoś zainspirował Pana do ich wyboru?

–Będąc kilkuletnim dzieckiem zobaczyłem w telewizji Konstantego Kulę i on mnie tak oczarował, że godzinami chodziłem po mieszkaniu z dwoma kijkami z zepsutej zabawki i śpiewałem, udając, że gram na skrzypcach. Rodzice, wysyłając mnie do przedszkola muzycznego, ratowali się sami, żeby od tego mojego „grania” nie zwariować. Nic to nie dało – wracałem z przedszkola i ... nadal śpiewałem.

Moja mama, stała bywalczyni w Teatrze Muzycznym we Wrocławiu, kiedyś zabrała mnie ze sobą na operę *Czarodziejski Flet*. Mimo, że miałem zaledwie 4 lata, to nie zasnąłem, nie marudziłem, nie przeszkadzałem – a to jest dosyć długa opera – i wysłuchałem ją do końca. Wtedy był to dla mamy znak, że muzyka jest moją miłością.

Który rodzaj muzyki Pan najbardziej lubi?

– Od dzieciństwa byłem nastawiony na muzykę kameralną. W wieku 10 lat tworzyłem pierwszy kwartet w szkole i byłem podobno bardzo dobrym skrzypkiem. Wszyscy chcieli iść w kierunku solistycznym, natomiast moją miłością od początku było tworzenie na zasadzie wspólnego grania, a więc muzyka kameralna. Natomiast jeżeli chodzi o rodzaje muzyki, to uważam, że jeżeli ktoś ma serce do muzyki, to naprawdę może grać każdy jej rodzaj, bo muzyka posługuje się jednym językiem, a w jej różnych rodzajach zmienia się tylko dialekt.

Jest Pan nie tylko skrzypkiem i altowiolistą, ale też menedżerem i dyrektorem artystycznym Morphing Music Institute. Może zaczniemy od przedstawienia założonej przez Pana w 2006 roku Morphing Chamber Orchestra.

– Orkiestra powstała po moim bardzo dobrym starcie w Wiedniu z muzyką kameralną w wykonaniu kwartetu Fidelio. Spośród 600 kwartetów znaleźliśmy się w dziesiątce wybranych zespołów, które pojechały na finał do Australii. Tam zajęliśmy siódme miejsce. Po tym konkursie – miałem wówczas 23 lata – robiliśmy MasterClass w Japonii. Wtedy zrodziła się myśl łączenia większej ilości kwartetów i grup kameralnych w jedną orkiestrę, która dzieląc się zasadami muzyki kameralnej potrafi grać duży repertuar bez dyrygenta. Nasze koncerty w 90% wykonujemy na stojąco, co dziś jest bardzo popularne, ale my staliśmy już 17 lat temu, bo moim zdaniem tworzy się wtedy inna energia, niż podczas koncertów wykonywanych na siedząco. Ja, grając na altówce, nie dyryguję, ale daję impulsy i panuję nad wszystkim. Oczywiście często w mediach jest to od razu



Tomasz Wabnic

upraszczane – dyrygent Tomasz Wabnic. Ja się nie oburzam, ale nie rozumiem, dlaczego nie można tego inaczej ująć. Jestem tylko liderem, który prowadzi grupę.

Wspomniał Pan o grze bez dyrygenta. Czym zatem kierują się muzycy podczas koncertu?

– Moim zdaniem, istnieje taki repertuar, w którym obecność dyrygenta nie jest konieczna, a nawet może przeszkadzać, bo można samemu zrozumieć, poczuć muzykę w sposób kameralny, łącznie z instrumentami dętymi. Z drugiej strony jest oczywiście śmieszne wykonywanie trudnych symfonii Brucknera, Mahlera czy ogromnych oper bez dyrygenta, bo to nie o to chodzi, bo wiem wtedy jego obecność jest bardzo potrzebna. Świetnie nagrane przez nas płyty także zawdzięczamy dyrygentom, którzy z nami współpracowali. Natomiast ogromna część muzyki jest dla mnie żywa wtedy, gdy muzycy grają ze sobą, np. instrumentalista dęty nie czeka na znak, tylko rzeczywiście zna całą partię pierwszych skrzypiec i musi słuchać, kiedy wejść, bo nikt mu nie pokaże. Ewentualnie ja, jedną brwią (śmiech).

Czy występy bez dyrygenta stanowią szczególne wyzwanie dla członków Orkiestry? Jak wygląda to od strony technicznej?

– Na pewno są próby. Na próbach trzeba mieć więcej czasu, żeby poznać i zgrać cały

materiał, niż gdyby przyszedł dyrygent i nam to pokazał. Oczywiście to ja prowadzę próby, z moją wizją danego utworu, ale zawsze rozmawiamy i wymieniamy się pomysłami na stworzenie jak najpiękniejszej wersji danego utworu, tak jak podczas pracy dobrego kwartetu, gdy próby nie są prowadzone tylko przez pierwszego skrzypka, a reszta kwartetu ma też coś do powiedzenia.

Natomiast podczas koncertu panuje wspaniała atmosfera, nie polegamy na kimś i tylko na jednej wizji utworu. Jesteśmy my, zgrany zespół. Każdy wie, jak interpretuje to, co gra i łączymy to we wspólną całość wizji utworu. Jedni zarażają swoją muzykalnością inną grupę, inni prowadzą to dalej. To jest w muzyce wspaniałe.

Pana Orkiestra występuje często wspólnie ze śpiewakami.

– Nie planowałem od początku, aby Orkiestra tak dużo występowała ze śpiewakami, ale dzisiaj jestem za to wdzięczny, bo dzięki tej muzykalności i płynności zyskaliśmy coś więcej. Jedną z najlepszych lekcji dla instrumentalisty jest zaśpiewanie sobie danej linii melodycznej, którą ma zagrać, żeby ją lepiej poczuć i zrozumieć intencje kompozytora. Więc ten śpiew nam bardzo dużo dał, bo czasami jednak się zapomina o tej prostej melodii śpiewania, która jest ujęta w utworze.

Ilu muzyków i z jakich części świata przewinęło się przez zespół w jego długiej historii? Proszę wymienić wielkie nazwiska, które współpracowały z Orkiestrą.

– W Orkiestrze mamy muzyków z co najmniej 25 państw świata, co zależy oczywiście od składu. Ale graliśmy na przykład w składzie 20-osobowym i wtedy mieliśmy przedstawicieli aż z 15 różnych krajów. Skład orkiestry zmienia się w zależności od projektu. To, co nas łączy, to ludzie, którzy w szkole wiedeńskiej się wykształcili, którzy ukończyli tutaj akademie muzyczne, którzy grają tu w orkiestrach: muzycy radiowi, filharmonicy czy symfonicy.

Z wielkich nazwisk na pewno trzeba wymienić Aleksandrę Kurzak, fenomenalną sopranistkę, nota bene była ona też świetną skrzypaczką. Następnie Roberto Alagnę, wspaniałego tenora francuskiego o włoskim pochodzeniu, i Andreasa Scholla, jednego z największych kontratenorów świata. Długo też z nami współpracował i nadal się przyjaźni z Orkiestrą Valerij Sokolow, znakomity ukraiński skrzypek. Była też współpraca z amerykańskim piosenkarzem i dyrygentem, Bobbym McFerrinem, co przyniosło totalnie inne doznania muzyczne. Można by

jeszcze długo wymieniać, bo ten okres 17 lat był niezwykle różnorodny. Zabrakłoby czasu.

Morphing Chamber Orchestra to zdobywca prestiżowej nagrody Fryderyk 2021 w kategorii Najlepszy Album Polski za Granicą za płytę „Desire”, nagraną z Aleksandrą Kurzak. Jak ta płyta została przyjęta na świecie?

– Na świecie, w mediach, wśród krytyków muzycznych, przyjęta została bardzo ciepło. Ten Fryderyk był dla nas zaskoczeniem, bo



Morphing Chamber Orchestra w Paryżu, 2021 r.

nawet nie wiedzieliśmy, że byliśmy nominowani. Dodam, że dziś jestem bardzo dumny z tego, że mam w Orkiestrze trzech Polaków. Jest wśród nich nasz solista Tomasz Daroch, który w tym roku dostał właśnie Fryderyka za wspólny album solowy.

Nagrał Pan 16 płyt CD dla kilku wytwórni. Z których płyt i z których koncertów jest Pan szczególnie dumny?

– Z wybraniem koncertu miałbym ogromny problem, bo było tego tak dużo. Jeśli chodzi o płyty, to najbardziej leżą mi na sercu nagrania na żywo. Wierzę w to, że my, muzycy, jesteśmy tylko drobnym pośrednikiem w przekazywaniu muzyki, że tylko niesiemy tę muzykę. Tak naprawdę nie myślałem nigdy i nie myślę do dzisiaj ani o karierze, ani o sukcesach. Wiem, że brzmi to dyletancko, ale naprawdę tak jest. Nigdy nie porównuję Orkiestry czy swojej gry do innych. Cały czas mam wrażenie, że jestem po prostu zwykłym człowiekiem, który dostał możliwość przekazu muzyki, która płynie w nas wszystkich. Nie byłoby nas,

gdyby nie odbiorcy. Od osób z publiczności na koncertach dostaje się bowiem to, że słuchają, że doceniają lub nie doceniają. To jest cały ten proces, w którym uczestniczymy.

Od 17 lat Orkiestra jest orkiestrą prywatną, nie działa pod auspicjami żadnego państwa ani instytucji, co pozwala nam zachować tę wolność, tak ważną dla muzyków. Nigdy nie nagrałem czegoś, co byłoby wbrew mnie, ani nie wykonywałem koncertu na siłę. Morphing też powstał między innymi dlatego, żeby odejść od ideologii grania, zwanej tutti w orkiestrze, czyli miesięcznego bycia w or-

kiestrze, tych prób. To nie był w ogóle mój świat. Ja miałem wrażenie, że wręcz muzyka gaśnie we mnie i staję się rzemieślnikiem, choć nie chcę przy tym nikogo oceniać. Uważam, że muzyka bez tej wolności w ogóle nie istnieje. Nie biorę za dużo projektów po to, żeby miały one jakość.

Z Częstochową łączy Pana wiele. Prowodzi Pan zespół Capella Claromontana, a w słynnym archiwum Klasztoru Jasnogórskiego dokonał Pan niezwykłego odkrycia zaginionych klejnotów kompozytorskich Wolfganga Amadeusza Mozarta i Josepha Haydna. Jak do tego doszło?

– Od razu sprostowanie. Nie ja je odkryłem, te utwory zawsze tam były (śmiech). Może to ja, z tą moją odwagą, która towarzyszy mi przez całe życie, jako pierwszy spojrziałem na nie uważnie. Na tych wszystkich okładkach, na tych wszystkich rękopisach była sygnatura „Autore Mozart”. Zwykle pojawia się niepewność, czy to aby na pewno Mozart. Oczywiście jest wiele utworów sygnowanych nazwiskiem Mozarta, które

nie są jego autorstwa. Pamiętam ogromną wrzawę medialną, od której postanowiłem się zdystansować.

Pamiętam, że nie odebrałem wtedy telefonu od „New York Times”. Nie chciałem w mojej działalności skupiać się na tym sensacyjnym odkryciu nut, tylko na tym, jak wykonamy te nuty, jak je nagramy, co z tym zrobimy. Mamy chyba w ogóle pierwszą w Polsce kopię Requiem, która została przepisana na Jasnej Górze. Jest

dzisiaj się robi ksero czy zdjęcie telefonem, i przywozili na Jasną Górę dla klasztornej orkiestry.

W Częstochowie wraz Morphing Chamber Orchestra wystąpił słynny Bobby McFerrin.

– To był bardzo szczególny koncert. Odbył się on w Archikatedrze w Częstochowie w ramach festiwalu Gaude Mater, kilkanaście dni po katastrofie smoleńskiej. Zmieniłem wtedy program, zaczęliśmy od

więcej czasu Wiedniowi, który bardzo kocham. Mieszkam tu 23 lata. Tu się odbywają wszystkie nasze próby, tu się tworzą projekty.

Już niedługo, bo 5 czerwca, odbędzie Gala z Aleksandrą Kurzak i Roberto Alagną w Konzerthaus, potem w sierpniu Morphing ma premierę w Brazylii, podczas pięciu koncertów gramy program „Mozart/Chopin, dwa światy”. Program ten powtarzamy 20 września w wiedeńskim Konzerthaus, 4 października gramy w Musikverein z Andreasem Schollem.

Jestem bardzo dumny, że po tylu latach uda mi się zrealizować projekt ze wspianym pianistą jazzowo-klasycznym, Makoto Ozone z Japonii. W Polsce jest on znany z nagrania przepięknej płyty z Anną Marią Jopek. Z nim zagramy 14 listopada w Paryżu, jak co roku, koncert w Muzeum Armii w Pałacu Inwalidów. A 16 listopada powtórzymy go w Konzerthaus w Wiedniu, w którym weźmie udział austriacka śpiewaczka Timna Brauer, która swoją wersję Mozarta zaśpiewa w stylu jazzowym.

Tym stylem zaraził mnie tak naprawdę Joseph Tawadros, egipsko-australijski muzyk i kompozytor, który od wielu lat gra z nami na oud, wcześniejszej lutni. Występowaliśmy razem na ceremonii otwarcia World Economic Forum w Davos. Był to wspianym koncert łączący różne światy: Jordanię, Izrael i Egipt. Zapraszam go więc na tournée w przyszłym roku, natomiast z Andreasem Schollem wybieramy się do Gdańska do Filharmonii Bałtyckiej. I to chyba w tym roku wszystko w Wiedniu, oprócz Koncertu Adwentowego granego po raz drugi, który przygotowuję w Sali Eroica w Theatermuseum.

Co jest najpiękniejsze, a co najtrudniejsze w działalności, której Pan się poświęca?

– Najpiękniejsze są dla mnie koncerty i zrealizowane projekty. Cieszę mnie nie tylko pozytywne reakcje publiczności, ale i muzyków, którzy czasami wiele dni po koncertach wracają do nich i piszą mi ciepłe słowa. Gdy widzę, że muzycy są szczęśliwi, że każdy czuje się wyróżniony grając w naszej Orkiestrze, że łączy ich miłość do muzyki, to wiem, że moja praca ma sens.

A co jest natomiast najtrudniejsze? Nie ma trudnych rzeczy. Jeżeli się coś kocha w życiu i robi z miłością, to człowiek liczy się też z trudami. Ale trudne rzeczy, momenty też mobilizują i budują. Bylibyśmy próżni, gdyby wszystko było tylko łatwe i piękne. Tak więc staram się znaleźć piękno także w trudach.



Aleksandra Kurzak i Roberto Alagna: już 5 czerwca br. wystąpią w Konzerthaus Wien

też Stworzenie świata Haydna, do którego paulini sami napisali polską wersję. Są to więc cenne perełki. Niezwykły zakonnik, ojciec Nikodem Kilnar, organizował nagrania, sprowadzał orkiestry, czego owocem jest chyba 70 płyt z polską muzyką dawną. Tak naprawdę nikt się tym nie zajmował. Profesor Krzysztof Podejko spisywał przez sześć lat te wszystkie utwory i opisywał ogromne archiwa Klasztoru Jasnogórskiego, obejmujące ponad trzy tysiące utworów. Następnie wydał obszerną publikację. Nagraliśmy siedem płyt z muzyką różnych polskich kompozytorów, zachowaną w tych archiwach.

Są to zapisane utwory, które nie były wykonywane od ponad 200 lat. Musimy wiedzieć, że na Jasnej Górze orkiestra wcześniej grała do mszy kilka razy dziennie, a muzycy orkiestry jasnogórskiej Capella Claromontana, która była założona w XV w., mieszkali na dziedzińcu Jasnej Góry. Paulini jeździli do Pragi, do Wiednia, kopiowali nuty, tak jak

Adagio for Strings Samuela Barbera. To był symboliczny koncert, na którym dwa miejsca przeznaczone dla pary prezydenckiej były puste. Wypełniliśmy go naszym repertuarem, skrzyżowaliśmy muzykę jazzową i muzykę klasyczną, wykonywaliśmy utwory takich kompozytorów jak Vivaldi, Czajkowski, Bach, a Bobby McFerrin improwizował w trakcie. Na marginesie powiem, że muzyk ten bardzo nie lubi publicznie i na żywo wykonywać utworu Don't Worry, Be Happy i w Częstochowie też go nie zaśpiewał.

Jakie są najbliższe plany dla publiczności wiedeńskiej? Gdzie i kiedy nasi Czytelnicy mogą zobaczyć i posłuchać Morphing Chamber Orchestra?

– Teraz jesteśmy bardzo związani z Francją, z Paryżem. Przed nami wspianym nagrania w tym kraju, łącznie do lutego przyszłego roku nagramy pięć płyt.

Natomiast ze względu na córkę i moją wspianym żonę Alinę chcę poświęcić



BRILLIANCE HOMES

Polska agencja nieruchomości w Hiszpanii
www.brilliancehomes.com

Zapraszamy do skorzystania z naszych usług sprzedaży nieruchomości w Hiszpanii! Jesteśmy doświadczoną i profesjonalną firmą, która zajmuje się sprzedażą nieruchomości na Costa Blanca.

Oferujemy szeroki wybór nieruchomości, takich jak apartamenty, domy, wille i wiele innych. Nasza firma cieszy się dużym doświadczeniem i zdobyła zaufanie wielu klientów. Zapewniamy pełne wsparcie w procesie sprzedaży nieruchomości, od znalezienia idealnej nieruchomości, przez negocjacje cenowe, aż po finalizację transakcji.

Costa Blanca to piękne południowe wybrzeże Hiszpanii, które przyciąga turystów z całego świata ze względu na swoje wspianym plaże, ciepły klimat i malownicze krajobrazy. To również doskonałe miejsce do kupna nieruchomości, a nasze nieruchomości położone są w najpiękniejszych miejscach!

Wybrzeże Costa Blanca słynie z białych piaszkowych plaż, czystych wód i urokliwych zatoczek. Wzdłuż wybrzeża znajdują się liczne kurorty z bogatą ofertą rozrywkową, sportową i kulturalną.

Kupując nieruchomość na Costa Blanca, zyskujesz nie tylko wspianym miejsce do wypoczynku, ale również inwestycję, która z czasem może się zwrócić!

Nasz zespół składa się z ekspertów, którzy posiadają wiedzę na temat rynku nieruchomości i pomogą Ci w znalezieniu idealnej nieruchomości zgodnej z Twoimi potrzebami i preferencjami.

Ponadto, jesteśmy zespołem mówiącym wieloma językami, w tym po polsku, co ułatwia naszym klientom porozumienie i załatwienie wszelkich formalności związanych z zakupem nieruchomości w Hiszpanii. Oferujemy kompleksową obsługę od pierwszego kontaktu aż do finalizacji transakcji.

Wyróżnia nas indywidualne podejście do każdego klienta i dokładne zrozumienie jego potrzeb i wymagań. Z nami możesz mieć pewność, że proces zakupu nieruchomości na Costa Blanca przebiegnie sprawnie i bezproblemowo.

Hiszpania to piękny kraj z ciepłym klimatem, bogatą kulturą i wspianym kuchnią. Nie zwlekaj, skontaktuj się z nami i znajdź swoje wymarzone miejsce w Hiszpanii!



Oferujemy profesjonalne usługi w zakresie:

- kupno lub sprzedaż nieruchomości
- zarządzanie nieruchomościami
- zarządzanie wynajmem
- prace remontowe
- projektowanie wnętrz
- usługi VIP
- projekty budowlane

Nasz zespół

Aneta Prawdzik

AGENTKA NIERUCHOMOŚCI

+34604400722

a.prawdzik@brilliancehomes.com

Łucja Zatorska

AGENTKA NIERUCHOMOŚCI

+34604401599

l.zatorska@brilliancehomes.com

Agnieszka Glowacka

SEKRETARKA

+34604401488

a.glowacka@brilliancehomes.com



Dodatkowe informacje

NUMER TELEFONU: +34 966 26 60 90

WHATSAPP: 604 40 07 22

E-MAIL: office@brilliancehomes.com

ADRES: Avda. San Bartolomé de Tirajana 6, 03195, Los Arenales del Sol, Hiszpania

Jeśli chcesz cieszyć się długim wypoczynkiem nad morzem i fantastycznym klimatem, wybierz Brilliance Homes jako agenta nieruchomości w Hiszpanii.

Malinowa Mama

Ania Jura imponuje. Uzyskała trzy dyplomy akademickie, biegle włada czterema językami (a rozumie siedem), pracuje w przedszkolu, prowadzi własną firmę edukacyjną i wychowuje wraz z mężem troje dzieci, w tym pięcioletnią córeczkę z wysokim stopniem niepełnosprawności. Malina urodziła się z poważnym niedotlenieniem. Od tego czasu dziecko cierpi na mózgowo-porażenie dziecięce – zaburzenie ruchowe mięśni i układu nerwowego. Siadanie lub podnoszenie rąk jest niemożliwe.

Rozmawia Anna Koliber

Aniu, napisałaś książkę pod tytułem „Malina. 17 minut i 28 sekund”. Co cię zmotywowało do opublikowania waszej historii?

– To opowieść o zdrowej ciąży: bólu, gdy lekarze informują cię, że twoje dziecko ma niewielkie szanse na przeżycie, oraz o stawaniu naprzeciw wyzwaniu. Z mężem podeszliśmy do wychowania Maliny zadaniowo i zorganizowaliśmy nasze życie wokół niej. Pisanie pomogło mi w procesie godzenia się z losem, ale nie była to jedyna motywacja. Zależało mi również na tym, by edukować i odpowiedzieć na pytania, które wiele osób – w tym krewnych i przyjaciół – wstydzi się zadać.

Co to za wstydliwe pytania?

– Na przykład o przyczynę choroby Maliny. Pojawiały się rady, że powinniśmy pójść do sądu lekarzy na oddziale porodowym i domagać się odszkodowania. Absolutnie nie zamierzamy tego zrobić. Nikt nie wie, dlaczego nasza córka urodziła się biała jak papier, mając w ciele 28% krwi, ale szukanie winnego i obwinianie personelu medycznego nikomu nie pomoże. Chciałam też rozwiać bzdurne przekonania, takie jak plotka krążąca w mojej podwarszawskiej miejscowości, że Malina urodziła się z porażeniem mózgowym, ponieważ jest dzieckiem z in vitro. Cała trójka naszych dzieci została poczęta absolutnie naturalnie.



Ania Jura z mężem i dziećmi

Owoc leśnej maliny też najpierw jest biały, zanim stanie się różowy i dojrzeje.

– Imię wybraliśmy z mężem jeszcze przed porodem. O tym zbiegu nazw powiedziała mi moja ciocia. Malina miała wtedy 4 tygodnie i wciąż myśleliśmy, że nie da rady przeżyć. Centralna część jej mózgu obumarła z powodu niedotlenienia, w tym ośrodek odpowiedzialny za samodzielne oddychanie. Codziennie jeździliśmy do szpitala, gdzie nasza córeczka leżała na oddziale intensywnej terapii dla noworodków, podłączona do tysięcy rurek. Gdy Malinka skończyła miesiąc, nagle zaczęła się krztusić, ponieważ wysunął

się jej tubus z tlenem. Lekarze natychmiast interweniowali.

Czekaliśmy z mężem pod drzwiami. Byliśmy przerażeni, przekonani, że to koniec. Nigdy nie zapomnę głosu pielęgniarki przez głośnik „Państwo Pineyro, pani doktor za moment przyjdzie. A dziecko żyje!” Zdarzył się prawdziwy cud. Inne części mózgu przejęły kontrolę nad oddychaniem i od tego momentu Malina oddycha samodzielnie.

Jak wygląda zwykły dzień z Maliną?

– W każdej rodzinie z trójką dzieci nie ma „zwykłych dni”, tylko nieustanna im-

prowizacja. Jak to zwykle bywa, dzieci nie łapią kataru czy kaszlu jednocześnie, tylko po kolei, przez co musimy z mężem na bieżąco ustalać, kto zostanie w domu, a kto i o której godzinie zawiezie dzieci do przedszkola, na basen, do lekarza, pójdzie na sanki... A przy okazji robi zakupy, ugotuje obiad itd. Mąż i ja jesteśmy zaangażowani w treningi Maliny, regularnie wykonujemy ćwiczenia fizjoterapeutyczne i staramy się, aby jej życie było jak najpiękniejsze. Niełatwe zadanie, bo Malina potrzebuje całodobowej opieki, a trzy-cztery razy do roku specjalnych turnusów medycznych.



Malina

Czy te turnusy są finansowane przez kasę chorych?

– Tak i nie. Aby uzyskać dofinansowanie, trzeba jechać na minimum trzy tygodnie, co przy pracy zawodowej i opiece nad pozostałą dwójką dzieci jest ogromnym wyzwaniem. Ponadto trzy tygodnie intensywnych treningów to za duże obciążenie dla Maliny – jej mózg nie przyjmuje takiej dawki nowych wrażeń. Dlatego jeździmy na turnusy dwutygodniowe do Polski. Fizjoterapia w Polsce jest lepiej rozwinięta i o połowę tańsza. Ludzie z całej Europy przyjeżdżają do naszego kraju z chorymi dziećmi.

Czy chcesz powiedzieć, że w Polsce istnieją lepsze warunki dla osób niepełnosprawnych niż w Austrii?

– Absolutnie nie! Ustalmy, że są trzy obszary wsparcia dla dzieci z poważnymi problemami zdrowotnymi. Punkt pierwszy to świadczenia socjalne. W Polsce opiekun osoby niepełnosprawnej otrzymuje świadczenie, które traci, jeżeli podejmie pracę zawodową. Taka suma nie wystarczy na godne życie, płacenie za czynsz czy jedzenie, nie wspominając już o opłatach za terapię. Dlatego właśnie co chwilę słyszemy o zbiórkach. Rodziny w potrzebie

blągają bliźnich o wsparcie, ponieważ nie dają rady finansowo. W Austrii świadczenia otrzymuje dziecko, a nie rodzice, którzy jak najbardziej mają prawo do pracy i szukania profesjonalnej pomocy. Może właśnie dlatego zbiórek jest mniej, przez co temat niepełnosprawności stał się mniej widoczny.

Punkt drugi to infrastruktura. Zarówno w Polsce, jak i w Austrii brakuje wyspecjalizowanych przedszkoli i punktów opieki. My mieliśmy szczęście. Malina uczęszcza do przedszkola i te kilka godzin dziennie bardzo nam pomaga.

Punkt trzeci to fizjoterapia, która w Austrii niestety bardzo kuleje. Używa się przestarzałych metod. Pod tym względem polscy fizjoterapeuci wyprzedzili swoich kolegów i koleżanki. Tragedia polega tylko na tym, że z powodu braku wsparcia socjalnego polskich rodzin często nie stać na regularną fizjoterapię.

Jakie macie wsparcie w opiece nad Maliną?

– Mój mąż pochodzi z Hiszpanii, ja z Polski i nie mamy w Austrii krewnych. Dzięki mobilnemu hospicjum dziecięcemu MOMO poznaliśmy cudowną wolontariuszkę z ze-

społu opieki paliatywnej dla dzieci. Michaela jest z nami od urodzenia Maliny i stała się członkiem naszej rodziny. Obecnie spędza z nią trzy godziny w tygodniu, dzięki czemu ja mogę w środy dłużej pracować w przedszkolu. Bardzo ciężko jest nam znaleźć płatną opiekę do dzieci. Trójka jest wyzwaniem dla wielu osób, ale dziecko z niepełnosprawnością przeraża. Na szczęście poprzez przedszkole poznaliśmy młodą studentkę logopedii, która się Maliny „nie boi”, i potrafi się nią opiekować.

Rodzice dziecka z niepełnosprawnością często przechodzą trudne chwile...

– Zdecydowanie. Podeszliśmy do wyzwania zadaniowo, nie pozwalając sobie na żalobę i płacz, ale momenty załamania dopadały nas przez lata. Często niestety mężczyźni sobie nie radzą i odchodzą, zostawiając matki z chorymi dziećmi. Mój mąż uczęszcza na terapię, otrzymuje wsparcie w ten sposób. Ja mam bardzo twardą psychikę i jak dotąd radzę sobie bez terapii, ale jestem w stanie zrozumieć rodziców (szczególnie samotne matki), którzy się poddają.

Podczas warsztatów „happy child”, organizowanych przez Joannę Pacułę-Nowak, wzruszyłaś słuchaczy mówiąc, że twoje dziecko mimo trudności jest szczęśliwe.

– Wielu ludzi w to nie wierzy, ale my jesteśmy szczęśliwą rodziną. Codziennie z czegoś się śmiejemy, a najgłośniejszemu Malina. Moja córeczka, mimo bólu i cierpienia, potrafi zakwilić z radości na widok brata, taty czy ukochanej opiekunki. Cieszy się z dźwięków, zabawek, promieni słońca...

Panuje stereotyp smutnego, przykutego do wózka dziecka oraz „Matki Polki” w ciągłej żałobie, która powinna chodzić w worku po ziemniakach i nie ma prawa iść do fryzjera czy cieszyć się z kupna nowych butów. Staram się w relacjach na Instagramie (@ania_invienna) pokazywać prawdziwą codzienność rodziny z niepełnosprawnym dzieckiem – bez czarnych czy różowych filtrów.

Dziękujemy za rozmowę i zachęcamy czytelników Poloniki do zakupu e-booka na stronie <https://www.snipshop.eu/> lub mailowo na malinaforsnip@gmail.com. Po otrzymaniu informacji z numerem konta dokonasz wpłaty (cena to 49 PLN lub 9 EUR), a po przesłaniu potwierdzenia przelewu otrzymasz link do e-booka. Dochód ze sprzedaży przeznaczony jest na fizjoterapię Maliny.

Grupa Rodzinna Al-Anon w Wiedniu

Mam na imię Anna i jestem Dorosłym Dzieckiem Alkoholika, w skrócie DDA. Jeśli dobrze pamiętam, to w wieku 13 lat zdałam sobie sprawę, że mój tata jest alkoholikiem. Nie będę opowiadać historii mojego dorastania w domu alkoholowym, bo nie o tym ma być artykuł. Chcę przybliżyć Wam jedynie powody, dla których trafiłam do Al-Anon.

mogę zmienić, jestem ja sama. Uczę się poprzez program mówić o swoich uczuciach, emocjach, mówić o mnie! A nie, jak do tej pory, o alkoholiku i jego problemach.

W marcu obchodziłam swoją pierwszą rocznicę w Al-Anon. Z tej okazji spisałam kilka przemyśleń na temat ostatnich miesięcy. Są to moje osobiste odczucia i doświadczenia, z którymi chcę się z Wami podzielić.

Mój pierwszy rok w Al-Anon

Do niedawna marzec nie należał do moich ulubionych miesięcy w roku kalendarzowym. Jednak właśnie w marcu, za sprawą mojej Siły Wyższej, trafiłam na swój pierwszy meeting Al-Anon, który z czasem postrzegam jako ogromny dar.

Kiedy cofam się do tamtego czasu, mam wrażenie, że moje wspomnienia dotyczą kogoś innego, kogoś podobnego do mnie. To, co pamiętam z tamtej chwili, to uczucie kompletnego niezrozumienia, na czym ewentualnie miałyby polegać pomoc i wsparcie, skoro kilka osób siedzi przy jednym stole i opowiada o swoich emocjach i przeżyciach. Uczucia, jakie wtedy mi towarzyszyły, to złość i poczucie straty czasu, jednak moja wrodzona samodyscyplina pomogła mi w zmotywowaniu się, by spróbować co

najmniej sześciu meetingów, jak to jest sugerowane przez Al-Anon, i aby po tym czasie zdecydować, czy jest to coś odpowiedniego dla mnie.

Nie miałam nic do stracenia, więc chyba po raz pierwszy w moim dorosłym życiu postanowiłam zaufać zupełnie obcym mi osobom i zaczęłam regularnie uczęszczać na spotkania. Nie miałam motylków w brzuchu czy też poczucia bycia we właściwym miejscu – jak to nieraz słyszałam w opowieściach innych Alanonek. To, co zachęciło mnie do ponownych meetingów, to otaczający mnie spokój i brak pośpiechu. Żadna z obecnych tam osób nie przerywała mojej wypowiedzi,

choć była totalnie chaotyczna i nie na temat. Nikt mnie nie skrytykował i nie ocenił w żaden sposób tego, co powiedziałam. To było dla mnie coś nowego...

Kontynuowałam więc regularne uczęszczanie na spotkania Al-Anon i w bardzo krótkim czasie czwartkowe popołudnia stawały się dla mnie czymś, na co z utęsknieniem czekałam przez cały tydzień. Kiedy zasiadałam do stołu i zamykały się drzwi naszej sali spotkań, to jednocześnie otwierały się dla mnie drzwi nowej rzeczywistości, gdzie byłam zawsze mile widziana, gdzie moja historia nie była nikomu obojętna, gdzie akceptowano mnie bez względu na to, czy to, co mówię, jest zgodne z osobistymi przekonaniem innych członków.

Za sprawą mojej Siły Wyższej zapagnałam wejść na 12-krokowy program. Postanowiłam, zgodnie z jednym z naszych haseł „Zostaw – oddaj Bogu”, powierzyć mu to pragnienie z ufnością, że skoro zasiał je w moim sercu i umyśle, to również pomoże mi je zrealizować i postawi na mojej drodze Anioła – bo tym dla mnie jest sponsor (osoba, która pomaga mi przejść przez program). I tak też się stało.

Odnosząc się do filozofii życia, jaką jest Al-Anon, mogę powiedzieć, że program stał się dla mnie prawdziwym przebudzeniem duchowym. Każdy stawiany przeze mnie krok budzi mnie do nowego życia, a nie, jak do tej pory, egzystowania w przekonaniu, że zaspokajanie moich potrzeb fizjologicznych czy fizycznych to cel mojej codzienności. Każdy dzień przynosi mi ogrom wdzięczności, których wcześniej nie dostrzegałam, uważając, że to, co mnie spotyka i co dostaję, po prostu mi się należy. To, co otrzymuję od członków Al-Anon, to niepojęta wcześniej przeze mnie potrzeba i pragnienie obecności w moim życiu drugiego człowieka. Uczę się dostrzegać, że każda stawiana mi przez mojego Boga osoba na mojej drodze w zdrowieniu to ogromny dar.

Program Al-Anon daje mi przede wszystkim samoświadomość i narzędzia potrzebne do tego, by stanąć w prawdzie o mnie samej oraz naturze moich błędów i sytuacji kryzysowych, jakie miały miejsce w moim życiu. Praca nad sobą pokazuje mi, że myślenie typu czarno-białe jest tak naprawdę postrzeganiem siebie i innych w kategorii dwóch skrajności. Uświadamia mi również, że nie ma złych emocji czy uczuć, uczy łagodności i akceptowania faktu, że nie mam wpływu na innych ludzi i ich wybory.

12-krokowy program to ekscytująca podróż w głąb siebie przy wsparciu mojej Siły Wyższej, która zawsze jest przy mnie, która kocha mnie taką, jaka jestem, i która daje mi do pomocy członków mojej grupy oraz sponsora. Uczę się, jak mądrze kochać siebie, a co za tym idzie drugiego człowieka. Uczę się, że stawianie granic moim bliskim to nie objaw egoizmu, ale potrzeba zdrowej odrębności i szacunku do własnych potrzeb.

Moja grupa Al-Anon przypominała mi również o zapomnianym przeze mnie i mało praktykowanym języku miłości. Słowa takie jak: *przepraszam, kocham cię, przesadziłam, nie mam prawa cię krytykować czy oceniać,*

Czy cierpisz z powodu picia bliskiej Ci osoby?

Od prawie 6 lat istnieje w Wiedniu grupa kobiet i mężczyzn, którzy spotykają się, aby dzielić się swoim doświadczeniem, siłą i nadzieją w związku z problemem alkoholowym swoich bliskich.

już nie są dla mnie oznaką słabości, jak to było do tej pory, ale wyrazem miłości i szacunku do drugiej osoby. Uświadomiłam sobie również, że język miłości to nie tylko wypowiedziane słowa, ale przede wszystkim czas poświęcony komuś, kto tego potrzebuje, to również dotyk, przytulenie, to uśmiech, to łza, która spływa po policzku po wysłuchaniu niektórych historii. Językiem miłości jest pomoc, jaką oferują mi wyciągnięte w moim kierunku dłonie, moich cudownych Alanonek, to przygotowany termos z kawą czy herbatą na nasze spotkania.

Program Al-Anon to nie jednorazowe przedsięwzięcie, ale proces, który należy pielęgnować i doskonalić każdego dnia, aby osiągnąć upragnioną pogodę ducha.

Dziękuję mojemu Bogu – jakimkolwiek Go pojmuję – że skierował moje kroki do Al-Anon i za słowa, jakie tam usłyszałam: jedyne, co możesz zmienić, to samą siebie i swoje nastawienie. Dziękuję za tę szansę na nowe i lepsze życie w wolności, akceptacji siebie i drugiego człowieka, oraz odwagę do zmieniania tego, co mogę zmienić. Niech się zacznie ode mnie: jeżeli ktokolwiek gdziekolwiek potrzebuje pomocy, niech zawsze napotka wyciągniętą do siebie dłoń Al-Anon.

Niech to będzie moja dłoń i niech zacznie się ode mnie!

Grupy Al-Anon są wspólnotą krewnych i przyjaciół alkoholików. Jesteśmy przekonani, że alkoholizm jest chorobą rodzinną i że zmiana naszego nastawienia może przyczynić się do jej wyleczenia.

Wchodzimy w skład światowych grup rodzinnych Al-Anon, których podstawowym i jedynym celem jest niesienie pomocy rodzinom i przyjaciołom alkoholików.

W Al-Anon można uzyskać podstawową wiedzę o chorobie alkoholowej, potrzebną po to, by traktować chorego z szacunkiem, a jednocześnie pozwolić mu samemu rozwiązywać problemy wynikające z nadużywania alkoholu, co paradoksalnie może pomóc mu w zdrowieniu.

Al-Anon jest dla wszystkich ludzi, bez względu na ich wyznanie i światopogląd. Uczestnictwo w grupach jest dobrowolne, anonimowe i bezpłatne. W Al-Anon nie udzielamy rad. Pracując nad sobą według programu Dwunastu Stopni rozwijamy się duchowo, stabilizujemy emocjonalnie i dzień po dniu budzimy się do życia na nowo.

Wiele osób przychodzi na pierwszy meeting Al-Anon w poszukiwaniu pomocy dla alkoholika. Zropaczeni, nie zdają sobie sprawy, że sami potrzebują pomocy. W Al-Anon są zachęceni do

tę, by nie bacząc na poczynania alkoholika znaleźli dla siebie możliwy do zaakceptowania styl życia. Uczestnictwo w meetingach Al-Anon pozwala zrozumieć nieskuteczność dotychczasowych działań zmierzających do powstrzymania alkoholika od picia. Ukazuje potrzebę pracy nad sobą, w której wyniku można uzyskać stabilizację emocjonalną. Dłuższy czas uczestniczenia w spotkaniach korzystnie wpływa na rozwój osobisty.

Al-Anon to ludzie, którzy tak jak Ty martwią się, że ktoś bliski pije za dużo. W Al-Anon otrzymujemy szansę uczenia się od siebie nawzajem, jak mimo choroby żyć w sposób satysfakcjonujący i szczęśliwy.



Od trzech lat jestem w związku małżeńskim. Dwa lata temu musiałam stanąć przed bolesnym dla mnie faktem, że historia, której tak bardzo nie chciałam powtórzyć w swoim życiu, zatoczyła koło – mój mąż okazał się również alkoholikiem. Pamiętam te chwile, jakby to było wczoraj, pamiętam uczucie strachu, który ścisnął moje gardło i serce. Rzadko zdarza mi się płakać, bo jestem z gatunku tych twardych, tzw. siłaczek, dla których nie ma rzeczy niemożliwych do zrobienia, a jednak okazało się, że nie mam kompletnie żadnego wpływu na picie ukochanej przeze mnie osoby.

Uczucie paniki podpowiadało mi, że bym szybko się spakowała i zaczęła układać swoje życie na nowo, a miłość, jaką czułam i nadal czuję do mojego męża, podpowiadała mi: walcz, nie poddawaj. Tak trafiłam na swój pierwszy w życiu meeting. Jakim szokiem było dla mnie, kiedy zamiast gotowej recepty na rozwiązanie problemu alkoholowego mojego męża dostałam sugestię, że powinnam zająć się sobą, że ja również jestem chora. To tam po raz pierwszy usłyszałam, że alkoholizm jest chorobą i że pijący bardzo często nie potrafią zaprzestać picia, chociaż tego pragną. Dowiedziałam się, że jedyną osobą, którą



www.al-anon.org.pl
Terminy spotkań
Każdy wtorek, godzina 19:00
(meeting otwarty)
Pfarrsaal: Rauchfangkehrergasse 12,
1150 Wien
Tel. grupy: +43 677 62 73 89 00

Oida! Ewa Kasp, promotorka Wiednia

Kolor oczu? Brązowe. Kolor włosów? Naturalny brąz. Światowa sława? Tak! Urodzona w Polsce aktorka i moderatorka Ewa Kasp stała się sensacją internetu i „twarzą Wiednia” dzięki jednemu słowu: „Oida!”

Rozmawia Anna Huemer

Ewo, mówisz po polsku bez śladu akcentu, a wychowałaś się w Austrii, prawda?

– Rodzice zdecydowali się na przeprowadzkę, gdy miałam trzy latka, a moja siostra Asia dziesięć. Dbali o poprawną wymowę w domu, a ponadto uczęszczałam dodatkowo do polskiej szkoły – aż do poziomu maturalnego. Wakacje i święta spędzaliśmy u dziadków w Polsce. Obecnie znajomość języków, dialektów i akcentów bardzo przydaje mi się w pracy aktorskiej, na przykład występowałam w kampanii zdrowotnej w Polsce, zachęcającej do rozmów o szczepieniach przeciwko Covid.

Pracuję w różnych krajach, jestem reprezentowana przez agencje w Toronto, Londynie, Wiedniu i Warszawie. Przyjmuję role po polsku, niemiecku, angielsku i francusku, a jeżeli mam skrypt i czas na przygotowanie, to również w języku hiszpańskim i rosyjskim.

Kiedy postanowiłaś zostać aktorką?

– Marzenie pojawiło się w dzieciństwie. W gimnazjum grałam w produkcjach szkolnych. Ale za namową otoczenia zdecydowałam się najpierw na „zwykłe” studia i pracę dziennikarki. Ukończyłam filmoznawstwo i teatrologię na Uniwersytecie Wiedeńskim, w tym jeden rok akademicki w Paryżu. Wieleletnia praca dla Puls TV nauczyła mnie prowadzenia rozmów z najróżniejszymi ludźmi i obchodzenia się z kamerą. Ale dziennikarstwo nie jest łatwe – pracuje się w dzień i w nocy, piątek, świątek i niedziele. Trzeba mieć zapał i powołanie, a ja czułam, że tego nie kocham. Dopiero w 2009 roku odważyłam się na wyjazd do Nowego Jorku i naukę

aktorstwa w The Lee Strasberg Theatre and Film Institute. To była przygoda życia!

Jak rozwijała się twoja kariera?

– Kolega aktor zdobył moje serce. Przez dwa lata związek utrzymywaliśmy na odległość, po czym wspólnie przenieśliśmy się do Kanady, gdzie graliśmy na scenie i w serialach przez osiem lat. Jak każda początkująca ak-

torka w Ameryce, pracowałam też jako kelnerka, a później jako tłumacz (polsko-angielsko-francuski) dla imigrantów w organizacji non-profit. I oczywiście nadal się uczyłam, zapisywałam na kursy aktorskie, szlifowałam warsztat. Gdy wyjechałam z Wiednia, miasto wydawało się takie szare i nieciekawe. Ale za granicą zaczęłam za nim tęsknić, a odwiedziny w rodzinnych stronach wprawiły mnie

zareagować. Nie wykorzystałam tej szansy. Aż rok zajęło mi nagranie kolejnego wideo na Youtube – zamiast iść za ciosem. Ale z drugiej strony, dzięki „Oida” dostałam się do świetnej agencji w Austrii i zostałam zaproszona do promowania Wiednia. W roku 2019 padła propozycja wystąpienia w kampanii społecznej reklamującej miasto Wiedeń pod tytułem #einfachleiwand – In Wien lässt sich’s leben.

Byłaś autorką i reżyserką tej kampanii, prawda?

– Dokładnie tak. Współpracowałam z Axelem Stasnym. Wspólnie pokazywaliśmy „Was macht Wien #einfachleiwand?”, o tym, co sprawia, że Wiedeń jest supermiejscem do życia.

Zdradz nam, dlaczego w Wiedniu „chcesz się żyć”?

– Wiedeń od lat przoduje w statystykach najlepszego miasta do życia – idzie łeb w łeb z Toronto w Kanadzie (gdzie mieszkałam) oraz Genewą w Szwajcarii. W naszym fil-

a Maskn aufsetzn”. Albo dla nie-wiedźczyków: „Abstand halten, immer die Hände waschen, zu Hause bleiben und eine Maske aufsetzen”.

Polonia wiedeńska zna cię również jako moderatorkę.

– Tuż przed ogłoszeniem pandemii miałam ogromną przyjemność poprowadzić 18. Bal Wiosny, a było to 22 lutego 2020 roku w Palais Ferstel Wien. Wspaniałe przeżycie!

Czym zajmujesz się w tej chwili?

– Właśnie wróciłam po dwóch tygodniach zdjęć z Rumunii, gdzie powstaje anglojęzyczny serial o czasach wojennych i rodzinie, która przeżyła Holocaust. Grałam polską Żydówkę. Również tutaj moja znajomość języków oraz niefarbowane włosy pomogły w interpretacji roli.

Niedługo zaczynam zdjęcia do kampanii austriackiego AMS, czyli Urzędu Pracy. Będziemy zachęcać osoby bezrobotne do zdobywania kwalifikacji. Piszę też sztukę – typu *one woman show* – o kobiecie, która przed czterdziestką przeprowadza się do swojej mamy i zaczyna pracować jako przewodnik po Wiedniu, choć wcale nie ma ochoty tego robić. Ale dzięki nowej pracy poznaje mnóstwo ciekawych ludzi. Interesuje mnie też reżyseria filmowa, dlatego kształcę się w tym kierunku na kursie w Warszawie.

Jakie masz marzenie aktorskie?

– Bardzo chciałabym zagrać kiedyś córkę Meryl Streep. Wiele osób mówi, że jestem do niej podobna. I najlepiej, aby był to film kręcony w Wiedniu. Albo zagrać w filmie, w którym będzie kick-boxing i możliwość wykorzystania języków.

Aktywnie działasz też w mediach społecznościowych. Twój profil @officiallyewa śledzi prawie 200 tysięcy osób.

– Promuję Wiedeń z przymrużeniem oka. Lubię chodzić po mieście, spędzać czas w kawiarni, podsłuchiwać rozmowy kelnerów i gości. Tam podłapuję pomysły. Od powrotu ze Stanów i Kanady nie mogę się Wiedniem nacieszyć. Staram się humorystycznie mówić o Austrii, o delektowaniu się kawą czy o jedzeniu Wurstsemmel. Turyści czasami proszą mnie o fachowe oprowadzenie, ale konsekwentnie odmawiam – nie jestem licencjonowanym przewodnikiem, tylko wiedenką z powołania. Ja po prostu kocham to miasto!

Dziękujemy za rozmowę i zapraszamy na stronę Ewy Kasp: <https://ewakasp.com/>



Ewa Kasp



w zachwyty. Dlatego wróciłam. Wiedeń jest niezwykle piękny i kolorowy!

Czy to wówczas – pięć lat temu – nagrałaś film na Youtube o najróżniejszych użyciach słowa „Oida”?

– Nigdy nie przypuszczałam, że to nagranie stanie się tak popularne! W krótkim czasie obejrzało je ponad milion użytkowników Youtube’a. Do dziś pamiętam, jak dwie przyjaciółki zadzwoniły w środku kanadyjskiej nocy z gratulacjami. Od lat ludzie kojarzą mnie z tym słowem.

Czy „Oida” otworzyło ci drzwi do kariery?

– Przyszła, że ta nagła sława internetowa mnie „powaliła” – nie wiedziałam, jak

mnie pokazaliśmy tylko niektóre atuty miasta, takie jak 1721 placów zabaw dla dzieci, 23 rynekczki ze świeżym jedzeniem, 176 stref do wyprowadzania psów w 989 parkach, 38 publicznych basenów, 91 ogólnodostępnych bibliotek, 2000 budynków socjalnych, 5 linii metra, 29 linii tramwajowych i 161 linii autobusowych oraz zaledwie 1,9 miliona mieszkańców – a to niewiele w porównaniu do Mexico City, Nowego Jorku, Tokio czy Londynu.

Rok później wystąpiłaś w kolejnej kampanii, promującej mycie rąk podczas pandemii.

– Ta kampania nazywała się... OIDA Regeln! To był skrót od słów „Obstond hoitn, immer d’Händ’ woschn, daham bleibn und

W poszukiwaniu siebie

– Miał być to wyjazd na jakiś czas, okazał się wyjazdem na całe życie – mówi Celina Vesely, od kilku dekad mieszkająca w Austrii, literatka z zamiłowania i działaczka społeczna tujejszej Polonii. W rozmowie z „Poloniką” podkreśla rolę, jaką w jej życiu odegrał dziadek, Jan Myjak-Myjkowski, ludowy poeta z Zagorzyna, po którym odziedziczyła zamiłowanie do pióra i aktywności społecznej.

Rozmawia Anita Sochacka

Mieszka Pani w Wiedniu od 1981 roku. Co było powodem przyjazdu? Jakie były Pani wyobrażenia i oczekiwania?

– Pierwszy powód to nieudane małżeństwo. Pochodziłam z biednej rodziny z małopolskiej wsi. Sama musiałam zadbać o swoją edukację w sensie jej sfinansowania, gdyż moich rodziców nie było stać na wysłanie na studia całej naszej gromadki. Zakochałam się z wzajemnością w magistrze ekonomii i weszłam do warszawskiej rodziny z wysokiej półki: teściowa śpiewaczka operowa, teść – dyrektor, mąż – pracownik ministerstwa.

Drugi powód to komuna, czyli trudne warunki ekonomiczne w socjalistycznej Polsce. Mimo że mąż pracował w ministerstwie, nie korzystał z przysługujących mu dodatków, jak wielkie mieszkanie czy samochód. Miał swoje zasady i nie pił wódki. Zatem emigrowałam również w celach zarobkowych. Gdy trafiła się okazja wyjazdu do Wiednia, wraz z mężem zdecydowaliśmy, że to ja wyjadę na zarobek, a on pozostanie z naszą córką. Planowaliśmy, że będziemy mogli dać dziecku możliwie najlepszą edukację i najlepsze warunki bytowe. Miał być to wyjazd na jakiś czas, okazał się wyjazdem na całe życie.

Jak radziła sobie Pani w tak niesprzyjających wówczas okolicznościach: emigracja zarobkowa z bloku wschodniego, brak pozwolenia na pobyt, praca na czarno.

– Przyjechałam bez znajomości języka, ale do siostry, która była zamężna z wiedeńskim przedsiębiorcą sadowniczo-ogrodniczym. Posiadał on szklarnie na ogromnych terenach w 11. dzielnicy Wiednia. Pracowałam z początku nielegalnie przy plewieniu 6 dni w tygodniu od 6.00 do 22.00 w bardzo niewygodnej pozycji. Miałam jednak ogromną motywację, by zdobyć niezależność finansową i wrócić do rodziny, oraz prawdziwe przekonanie,

że rodzina chce mojego szybkiego powrotu. Gdy podczas jednej z rozmów poskarżyłam się mężowi na fizyczne dolegliwości, jakich doświadczałam, ten w dość ostrych słowach skwitował, że to mój własny wybór i sama tego chciałam. Nadzieja na rychły powrót do najbliższych przysła niczym mydlana bańka.

To był najcięższy okres w moim życiu: rozłąka z ukochanymi osobami i towarzysząca temu świadomość, że wraz z upływem czasu więzy rodzinne nieuchronnie rozluźniają się i że nie da się w przyszłości nadrobić straconego czasu. Oddzielenie od mojej małej córeczki, za którą niewyobrażalnie tęskniłam, oraz poniekąd zmanipulowanie jej myślenia wobec mnie okazały się w konsekwencji kluczowe dla naszych wzajemnych relacji aż do chwili obecnej.

Kiedy zdała sobie Pani sprawę z tego, że nie ma powrotu, przedstawiła Pani swoje myślenie i działanie?

– W przeciągu trzech miesięcy nauczyłam się języka niemieckiego na tyle dobrze, że podjęłam pracę w małym bistro na dworcu w Meidlingu, gdzie mogłam porozumiewać się po niemiecku bezpośrednio z klientami. Imbiss był prowadzony przez pewną matkę z córką, które wystąpiły mnie na kurs na kasjerkę. Dzięki nabytym nowym kwalifikacjom podjęłam pracę ekspedientki w sklepie Interpar, służyłam też jako tłumaczka w jądłodajni Polenshilfe. Niedługo potem znalazłam zatrudnienie na kasie w restauracji na dworcu Westbahnhof.

Tam poznałam pewnego człowieka, dobrze ustosunkowanego w kręgu austriackich mediów. To zaowocowało po latach pracą w telewizji przy przygotowywaniu jednego z popularnych talk-show. Dzięki dobrym kontaktom z ludźmi mogłam wreszcie zdobyć pierwsze zatrudnienie

z zameldowaniem, co umożliwiło mi z kolei wyrobienie paszportu konsularnego, a na taki mogłam podróżować do Polski i odwiedzać moją córeczkę. Udało mi się również zagrać w kilku reklamach oraz dostałam rolę Rosjanki, Olgi, u boku Marka Włodarczyka w filmie kryminalnym *Soko Donau*. A w sprawach małżeńskich, by nie utrzymywać iluzji, zaproponowałam mężowi rozwód. To było uczciwe postawienie sprawy. Po rozwodzie stałam się jeszcze bardziej samotna, ale i niezależna.

I wtedy zaczął się nowy rozdział w Pani życiu osobistym i społecznym?

– Uwierzyłam w siebie, osiągnęłam niezależność finansową, poznałam nowych ludzi, poślubiłam Austriaka, zaczęłam normalizować relacje z moją wówczas już dorosłą córką, spisałam wspomnienia z domu rodzinnego, napisałam bajeczkę dla córki, pisałam wiersze dla najbliższych i znajomych, częścią prosto do szuflady. Zrozumiałam także, czemu chcę się w Austrii społecznie poświęcić: związałam się ze środowiskiem polskim, zaczęłam współorganizować wydarzenia kulturalne i wizyty artystów z Polski, zapisałam się do Polskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Wiedniu, działałam w Kongresie Polskich Kobiet w Austrii, od jesieni 2021 roku jestem członkinią zarządu Związku Polaków w Austrii „Strzecha”.

Z perspektywy lat czym jest dla Pani emigracja?

– W Wiedniu w pewien sposób ocknęłam się. Emigracja dała mi pewność siebie, możliwość zrozumienia samej siebie, słuchania własnego serca. Poznałam mnóstwo wspólnych osób, doświadczyłam wiele dobra od obcych ludzi. I sama też nie żyję tylko swoim prywatnym życiem. Dla mnie jest bardzo istotne, by być potrzebną nie tylko przy organizacji wydarzeń artystycznych czy społecznych, ale również w stosunku do indywidualnych osób, które o tę pomoc się zwracają. Niejednemu Polakowi pomogłam znaleźć pracę, mieszkanie, załatwić urzędowe formalności, wielu osobom dawałam wikt i opierunek. Nie są to rzeczy, za które dostaje się odznaczenia, dla mnie największym wyróżnieniem jest szczerą wdzięczność tych, którzy znaleźli się na mojej drodze. Jestem przekonana, że moje społecznikowskie nastawienie zawdzięczam



Celina Vesely

dziadkowi, który przekazał mi w dzieciństwie swoje niezłomne zasady, jak i umiejętność łatwego wypowiadania się wierszem.

Skoro nawiązuje Pani do swojego dziadka, przedstawmy bliżej jego sylwetkę. Mało kto słyszał o Janie Myjaku-Myjkowskim, poecie ludowym, samouku z Zagorzyna na Sądecku, animatorze środowiska wiejskiego. Dlaczego Pani dziadek jest nieznan szerszej publiczności?

– To proste, był on zwyczajnym poetą-samoukiem. Jan przyszedł na świat w 1849 r. jako drugie dziecko dość zasobnego małżeństwa Macieja Myjaka i jego żony Anny, które w ciągu kolejnych 16 lat dało małemu Jaškowi jeszcze ośmioro rodzeństwa. Austria pod panowaniem cesarza Franciszka Józefa pozwoliła pierworodnemu Walentemu na studia w Krakowie na wydziale matematyki, młodszego o 5 lat Józefa zmusiła do emigracji z piszczącej biedą Galicji do Stanów, a Jaška – mimo że w wieku 12 lat zakończył formalną edukację, ale do książek, a zwłaszcza poezji, na plebanii u księdza, gdzie poznał m.in. Kornela Ujejskiego, się garnął – powołała do służby w swoim wojsku.

Jakie były koleje losu Jana?

– Siedemnaścioletni został skoszarowany w Innsbrucku, gdzie zetknął się ze światłymi i niezależnymi duchem rekrutami z Tyrolu. Dziś nie zdajemy sobie sprawy z wyjątkowej

biedy i ciasnoty horyzontów ówczesnych mieszkańców terenów wiejskich Galicji: przeludnienie, brak edukacji, ograniczony dostęp do lekarza, brak miejsc pracy i kapitału – wszystko to skłaniało młodych ludzi do wyjazdu za granicę do pracy w kopalni, do miasta, do służby w wojsku, gdziekolwiek, byleby dalej od galicyjskiej biedy. Młodzi tyrolscy, synowie alpejskich chłopów, zapewne sami członkowie związków strzeleckich, zakładanych dla samoobrony w górskich wioskach już od stuleci, czy po stronie austriackiej, szwajcarskiej, włoskiej, czy bawarskiej, wyłożyli Janowi sprawdzone w praktyce metody na to, jak przeżyć i ochronić siebie i bliskich.

Z jakimi ideami zetknął się zatem Jan?

– Jeśli wspólnota ma przeżyć, to musi być niezależna w myśleniu, stanowić o sobie i nie pokładać nadziei w kimś obcym, innym środowisku, lecz samodzielnie dążyć do wyzwolenia. Chłop polski, żyjący w skrajnej nędzy, wyzyskiwany przez inne warstwy społeczne, musi się otrząsnąć z uzależnienia, zadbać o swą edukację, domagać się praw dla siebie. Tylko wtedy, gdy jest się silnym i przekonanym o własnej wartości, można być partnerem dla innych.

Po odbyciu służby wojskowej Jan wrócił do Zagorzyna i zaczął działać.

– Te proste chłopskie nauki, zupełnie nowe, rewolucyjne rozumienie świata ukształtowało poglądy mojego dziadka na tyle mocno, że po powrocie ze służby wojskowej do rodzinnego Zagorzyna sam zaczął animować środowisko wiejskie w kółkach samopomocy, czytelnich ludowych. Wskazywał na konieczność edukacji młodzieży chłopskiej, wytykał zagrożenia, jakie niosą ze sobą uświęcone wielowiekową tradycją stosunki na wsi: nadmierne obciążenia podatkowe, niemożność zakupu ziemi przez rolnika, zależność od Żydów monopolizujących handel we wsiach i miasteczkach, a zwłaszcza handel alkoholem w karczmach, które zakładano nawet w najmniejszych siółach, nieposiadających niekiedy własnego kościoła. Dziś zapewne przypięto by mu fatkę antysemitów. Jednak

nie tak krótkowzroczne i ksenofobiczne miał poglądy.

Przejdźmy do jego aktywności społecznej i politycznej. Czym się zajmował w rodzinnej wsi?

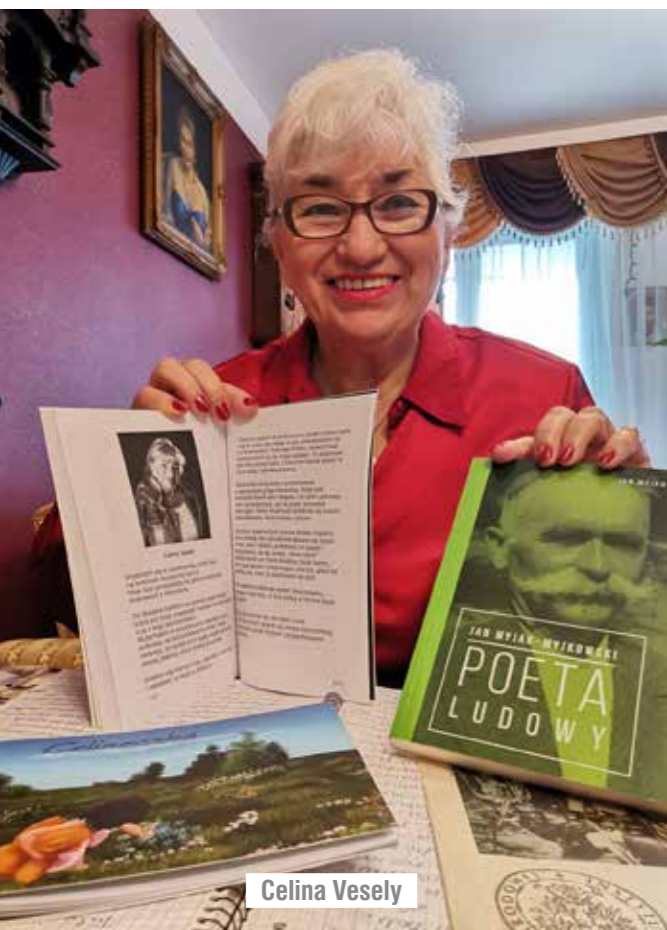
– Jan myślami był w przyszłości: w 1893 roku w Nowym Sączu współzakładał Związek Stronnictwa Chłopskiego, z czasem ideologicznie zbliżył się do Stronnictwa Ludowego, uczestniczył w pielgrzymce chłopskiej do Rzymu, zabiegał dla Jana Potoczka, działacza ziemi sądeckiej, o poselstwo do austriackiej Rady Państwa.

Duszę miał jednak artystyczną, jak czytamy w publikacji *Jan Myjak-Myjkowski. Poeta ludowy, autorstwa Jana Myjkowskiego, wnuka poety.*

– Pozytywista w działaniu, romantykiem pozostał w duszy, publikując poezje w kilku pismach ruchu ludowego: „Wieńcu-Pszczółce”, „Piaście”, „Przyjacieliu Ludu”, „Ziemie”, „Związku Chłopskim” (w 1900 roku specjalny dodatek uczcił 25-lecie jego pracy twórczej). Pisał z wielką łatwością, w ogromnym duchu patriotyzmu i z prawdziwą pasją do podzielonej zaborami ojczyzny. Marzyło mu się jej zmartwychwstanie, poszanowanie życia i sprawiedliwość względem każdego obywatela. W 1875 roku zadebiutował jako poeta ludowy *Wierszem górala z Zagorzyna z powodu upadku Polski*.

Pod koniec XIX wieku osiadł w Tarnowskim, gdzie zaczął działać w tamtejszym rozpolitykowanym środowisku. Proszę opowiedzieć o znajomości ze znanymi postaciami ruchu ludowego.

– Gospodarując ćwierć wieku na ojczyźnie, sprzedał naraz w 1894 roku swe włości i zakupił ziemię w podtarnowskim Lichwinie, tam, dokąd zawędrował z emigracji na amerykańskiej ziemi jeden z jego braci. Z niezmiennym zapałem zaczął organizować w Tarnowskim ruch ludowy, współpracując z osobami, które znamy z kart podręczników historii: Karolem Miarłą, księdzem Stanisławem Stojalowskim, wreszcie samym Wincentym Witosem. Przyszłego premiera rządu Rzeczypospolitej promował w regionie w miarę swoich możliwości. Spójrzmy zresztą na zdjęcie w popularnym wówczas czasopiśmie „Bluszcz”, jak stoi ramię w ramię z Witosem. Nie wygląda to bynajmniej na zbiorowe zdjęcie przypadkowych, nieznanających się osób. Archiwum rodzinne, które wciąż gromadzę i porządkuję, zawiera sporo dowodów na działalność społeczno-polityczną mojego



Celina Vesely

Foto: Anna Schindler

Ziemi w Wadowicach wziął udział w wydarzeniu ponadzaborowym, uroczystym drugim pogrzebie Adama Mickiewicza. To wydarzenie było ukoronowaniem jego patriotycznych i artystycznych uczuć wobec wielkiego poety.

Proszę przybliżyć historię rodu i rodzowego nazwiska.

– Na mocy dekretu cesarskiego mój dziadek zmienił w 1900 roku nazwisko na Myjkowski. Nie wykluczone, że wówczas do głosu doszły tradycje rodzinne i przekazywana z pokolenia w pokolenie świadomość drzewa genealogicznego, sięgającego do czasów konfederacji barskiej. Dodajmy, że w tradycji rodzinnej wciąż żywy jest przekaz, jakoby początkowa zmiana nazwiska podyktowana była względami pragmatycznymi: skazany przez cesarza Franciszka Józefa krnąbrny chłop, świadomy aktywista i gorący patriota, wołał zniknąć cesarzowi z pola widzenia

i ukrył się pod przyjętym od żony prostym nazwiskiem Myjak.

Gdzie przeżył Jan lata Wielkiej Wojny?

– W pierwszej wojnie światowej ze względu na wiek nie wziął bezpośrednio udziału, odczuwał jednak na co dzień jej grozę: Lichwin znajdował się w pasie ziemi niczyjej, gdy żołnierze cesarscy i carscy, stojąc naprzeciw siebie w okopach, bez zapowiedzi i bynajmniej nie po prośbie odwiedzali gospodarzy.

Jan Myjak-Myjkowski, z pradziada Nowowiejski, doczekał się niepodległej Polski.

– Wolną Polskę powitał ze łzami w oczach, przez wszystkie lata wierzył głęboko, że ten sen się spełni. Odzyskanie niepodległości niewiele jednak zmieniło w jego napiętym rozkładzie dnia: był aktywny jak dawniej, teraz może nawet większą czuł odpowiedzialność za sprawy nasze, za sprawy polskie.

Co zawdzięcza Pani dziadkowi?

– Dziesięcioro dzieci, w tym moją mamę, najmłodszą Heleną, urodzoną późno, bo w 1906 roku, wychowaną w duchu patriotyzmu i odpowiedzialności za życie swoje i losy ojczyzny. Kolejnemu pokoleniu też udzieliła się domowa atmosfera. Już jako dorastająca dziewczyna wypytywałam moją mamę o dziadka, chętnie słuchałam wspomnień

o nim, szukałam jego twórczości. Pod koniec życia pisał o sobie: *Gdy patrzę na to wszystko, co się w moich oczach stało, w czym miałem udział – stoję wobec tego jak rolnik na łanie dojrzałym, kiedy to ze srebrnym kłosem żyto lub złota pszenica ziarnem obciążona dają ukłony swemu gospodarzowi: to twoja praca, owoc twój, nagroda twoja twojego zachodu, i słowa Symeona sprawiedliwego z Ewangelii cisną się do myśli »Panie, puść sługę, albowiem moje oczy oglądały zbawienie ludu« – ojczyzny, Polski...*

Mój dziadek Jan Myjak-Myjkowski odszedł w czasie żniw, w lipcu 1927 roku. Ostatni wiersz napisał w wieku 78 lat.

W tym roku mija 96 lat od śmierci pani dziadka, ludowego poety z Zagórzyna.

– Chciałabym, by jego sylwetka została przybliżona szerszym kręgom, by jego dzieła nie zostały zapomniane. Tu w Wiedniu staram się, by spuścizna po dziadku nie przepadła, gromadzę i porządkuję jego wiersze. Realia współczesne są nieco odmienne od ideałów, o jakich poeta mówił Jan Myjkowski, tym bardziej czuję powołanie do działania. Dlatego jestem obecna w życiu Polonii austriackiej. Cała moja aktywność społeczna to także dziedzictwo po dziadku, tak zresztą, jak i pisanie wierszy. Te w większości pisuję dla rodziny, moich kochanych wnuczek, znajomych, artystów, którzy odwiedzają Wiedeń, oraz... do szuflady. W tej szufladzie moje wiersze sąsiadują z twórczością dziadka.

Czy zamierza Pani wrócić na stałe do Polski?

– Nie, już nie. Tutaj mam swoje życie, tu będzie mój grób. Kocham Polskę i jestem dumna z tego, że jestem Polką. Szkoda, że w tamtej historycznej sytuacji nie miałam możliwości zapewnienia córce właściwych warunków ekonomicznych właśnie w Polsce. Jednak dzięki kolejom losu rozwinęłam się tutaj, zrozumiałam siebie i wciąż rozwijam się duchowo, gdyż to uważam za najważniejsze. Jednym z moich marzeń jest promocja kultury polskiej w Austrii, by oferta znalazła uznanie u rozproszonej na różne instytucje i organizacje Polonii, by mogli zbliżyć Polaków i sprawić, by działali zgodnie i wspierali się wzajemnie.

Rolę taką miał stanowić Salon Kultury Polskiej, czyli cykliczne spotkania muzyczne, poetyckie, kabaretowe z artystami zapraszany z Polski czy związanymi już z Wiedniem. Jego początki przypadły niestety na brutalny czas epidemii Covid-19. Mam jednak nadzieję na przywrócenie Salonu do życia.

dziadka, jak i pokaźny zbiór poezji, z której bodaj najstojniejszym jest monumentalny wiersz *Sen górala o Polsce*.

Zacytujmy bodaj jego fragmenty. Gdy czytała mi go Pani w całości, przed oczyma miałam moje najprzyjemniejsze lekcje języka polskiego o okresie Młodej Polski.

Wśród Karpatów na gór szczytce usiadł góral na kamieniu

Duch uleciał go w zachwycie, głowa zwiśla na ramieniu

Usta szepczą: Serce Jezusowe, ulituj się nad narodem, przywróć Polsce życie nowe

Wsparty nadziejską mocą przeniosem sztandar przez burze

Spiemy umilkły, cisza nastąpiła, a Polska mówi: o zgodny ludzie

Za twą wytrwałość ja z trumny wstała, boś przeniósł sztandar w burzy po grudzie

Budź się, patrzę, a słońce wschodzi, schodzę w doliny, szepcę pacierze

I myślę, czy Polska wstanie, czy zgodni razem we świętej wierze już my gotowi, o Panie.

Powinowactwu duchowemu ze swym mistrzem, Adamem Mickiewiczem, dał Jan dowód podczas drugiego pogrzebu wieszca.

– W 1890 roku jako jeden z członków delegacji Ludowego Towarzystwa Ochrony



Mag. Alfons Umschaden MBA, M.B.L.
Rechtsanwalt

Dr. Agata M. Wolinska-Umschaden
Rechtsanwältin
kanzlei@awolinska.com

Domgasse 4/9, 1010 Wien

Tel: 01 389 0800,
Fax +01 389 0800 8

www.awolinska.com



Kancelaria Dr Agaty M. Wolińskiej-Umschaden jest międzynarodową kancelarią prawną z siedzibą w Gdańsku i w Wiedniu. Kancelaria oferuje szeroki zakres usług prawnych w zakresie rozstrzygnięcia sporów, także na drodze arbitrażu,

prowadzi sprawy karne oraz postępowania administracyjne. Ponadto Kancelaria specjalizuje się w dziedzinie prawa medycznego, farmaceutycznego, kosmetycznego i żywnościowego. Świadczone przez Kancelarię usługi prawne opierają się zarówno o polski jak i austriacki system prawny.

Oferujemy m.in.:

- doradztwo merytoryczne i reprezentację w procesach zarówno przed organami państwowymi jak i sądami w zakresie sporów wynikłych ze świadczeń socjalnych, sporów pracowniczych oraz wynikłych z umów o pracę
- kompleksową opiekę prawną w procesach rozwodowych, o opiekę nad dziećmi, o podział majątku, w sporach alimentacyjnych (także transgranicznych) i adopcyjnych
- dochodzenie roszczeń powypadkowych i odszkodowawczych

- sporządzanie umów opartych na prawie polskim i prawie austriackim
 - pomoc prawną w zakresie prawa karnego i karnego gospodarczego
 - pomoc w zakładaniu przedsiębiorstw i spółek handlowych
 - specjalistyczne doradztwo w zakresie prawa medycznego, farmaceutycznego, produktów medycznych, suplementów diety, a także prawa żywnościowego i kosmetycznego
 - dochodzenie roszczeń z tytułu szkód medycznych
 - wsparcie merytoryczne oraz reprezentację w procesach roszczeniowych przeciwko ubezpieczycielowi
- Ponadto zapewniamy doradztwo prawne oraz reprezentację w procesach w zakresie:**
- sporów budowlanych
 - prawa najmu
 - prawa transportowego
 - prawa franczyzowego
 - prawa pobytowego



mgr Renata KIERES
dyplom. tłumaczka j. polskiego i rosyjskiego

POLSKI • NIEMIECKI • ANGIELSKI • ROSYJSKI
oraz wszystkie inne języki świata

BIURO TŁUMACZEŃ

(w pobliżu Ambasady Polskiej w Wiedniu)

Dipl.-Ing. Dr. W. STROHMER KEG
A-1130 Wien, Hietzinger Hauptstraße 67/2
tel. 877 52 69, faks 877 58 29
tel. kom. 0664 / 44 28 035



Stanisław KIERES
tłumacz przysięgły j. polskiego i niemieckiego

oferuje następujące usługi:

- **Uwierzytelnione tłumaczenia dokumentów** (dokumenty osobiste, decyzje sądowe, świadectwa, akty, indeksy, umowy itp.)
- **Tłumaczenia ustne i pisemne w urzędach, sądach i na policji** (rozprawy sądowe, składanie wniosków, odwoływanie się od negatywnych decyzji, konferencje, pertraktacje, rozmowy handlowe)
- **Tłumaczenia przy załatwianiu wszelkich spraw urzędowych** (współpraca z adwokatem, notariuszem, doradcą podatkowym: śluby, rozwody, sprawy cywilne i karne, deportacje z Austrii, spory z pracodawcą, rejestracja i ubezpieczanie samochodów, nabywanie mieszkania, zaliczanie lat pracy z Polski, uzyskiwanie lub wymiana prawa jazdy itp.)
- **Rejestracja i prowadzenie firm na terenie Austrii** (udostępnianie adresu na siedzibę firmy na okres rejestracji, przejmowanie przedstawicielstw zagranicznych firm, współpraca z notariuszem i doradcą podatkowym przy zakładaniu firmy i uzyskiwaniu wymaganych koncesji, roczne rozliczenia pracobiorców z urzędami podatkowymi itd.)

PRZYSTĘPNE CENY!

np.: uwierzytelnione tłumaczenie aktu urodzenia EUR 25,-

Osobom zamiejscowym polecamy możliwość przesłania dokumentów drogą pocztową.

Wszystkie zlecenia wykonujemy szybko i solidnie.

(normalny termin: 1 dzień)

Godz. urzęd.: 9 - 18

UWAGA:

Poza godzinami otwarcia biura dyżur telefoniczny pod numerem (0043 1) 877 52 69 lub 0664 / 44 28 035

rok
założenia firmy
1986

Spojrzałam na moją przyszłą bratową. Miała czerwone oczy i nos. Wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Czyżby pokłócili się z Tomkiem? Nie, to niemożliwe...

– Czy mój brat cię skrzywdził?

– Nie, nie...

– Coś nie tak z małżeństwem? Lub w pracy?

– Wszystko dobrze.

– OK, słuchaj, widzę, że coś cię boli. Tu jest bardzo fajna knajpka. Zapraszam cię na gorącą czekoladę. Masz chęć?

Oliwia tylko słabo kiwnęła głową. Złapałam ją za rękę i pociągnęłam w stronę kawiarni. Zdjęliśmy płaszcze, zajęliśmy dyskretny stolicek w roku i zamówiliśmy duże kubki gorącej czekolady z bitą śmietaną.

– O rany! Ale bomba kaloryczna! A ja już jestem gruba jak hipopotam – jęknęła Oliwia.

– Ale co ty pierniczysz, Oliwka! Jesteś w ciąży, to normalne, że kilka kilo ci przybyło! Tomek uwielbia wszystkie twoje krągłości!

No i w tym momencie Oliwia ryknęła szlochcem w wersji turbo. Zerwałam się z krzesła i przytuliłam przyszłą bratową.

– Oliwia, co się stało? Co ja takiego powiedziałam? Przepraszam, jeżeli palnęłam jakąś głupotę!

– To nie ty! To tylko dlatego że – mamrotała Oliwia, pociągając nosem i chlipiąc w serwetkę, którą jej podałam ze stolika – że nie będę miała sukni ślubnej!!!

– Cooo? Dlaczego nie?

– Bo... Bo... Jestem za grubaaa! – I znowu polały się łzy.

Przez kilka minut głaskałam trzęsącą się Oliwię po ramieniu. W końcu jakoś się uspokoiła.

– Dobrze, to teraz mi powiedz, o co chodzi z tą sukienką ślubną?

Oliwia wytarła oczy w serwetkę z logo producenta kawy, westchnęła i spojrzała na mnie.

– Przez całe życie marzyłam o białym ślubie. Wyobrażałam sobie, że będę wyglądała jak księżniczka w pięknej sukni i długim welonie.

Miałam ochotę potwierdzić, że właśnie tak będzie, ale aż się bałam odezwać, by znowu nie zareagowała potokiem łez.

– Dziś miałam umówioną wizytę w salonie sukien ślubnych, takim ekskluzywnym, na Mariahilferstraße. Cieszyłam się jak wariatka na polowanie na tą jedną, jedyną, idealną suknię ślubną. Wcześniej naoglądałam się tych programów telewizyjnych i to amerykańskich, i europejskich, co to te kobiety wchodziły do salonów i już właściwie od progu ekspedientki im nadskakują: a może szampa, kanapkę z kawiosem, a może trochę płatków róż pod stopy?



Suknia ślubna

Wybiegłam po pracy ze studia jogi przy Neubaugasse, gdy nagle zderzyłam się z jakąś kobietą. – Passt doch auf! – burknęłam. – Przepraszam, Maju... – odpowiedziała mi słabym głosem i podniosła na mnie zapłakane oczy. – Oliwia? Cześć! Co tu robisz? I dlaczego płaczesz? – Nie nic... Tylko...

Anna Koliber

– Nie było szampa? – bąknęłam, prze-czuwając najgorsze.

Oliwia wskazała palcem na szary dres, w który była ubrana.

– Poszłam w dresie, bo myślałam, że przecież będę się dużo przebierać. No i na wejściu ekspedientki spojrzały na mnie jak na robaka. Powiedziały, że w salonie nie ma żadnej sukni powyżej rozmiaru 38, a u mnie kuper jak skrzynia w dylizansie.

– Tak powiedziały? – krzyknęłam ze zgrozą.

– Dokładnie tak. Gdy się zdziwiłam, że nie mają pełnej rozmiarówki, ekspedientka wyjaśniła, że rzadko kobiety powyżej rozmiaru 38 wychodzą za mąż, więc salon nie ma potrzeby, by mieć na stanie większe rozmiary. Nooo chyba, że ktoś łapie męża na ciężę... Dorzuciła też, że powyżej rozmiaru 38 to już plus size i powinnam szukać sukni w odpowiednich sklepach. Może tam będą mieć dla mnie np. garsonkę ślubną.

– Co za wredny babsztyl! Nie wiem, co ta kobieta ma w głowie, mówiąc takie brednie!

Czysta dyskryminacja ciężarnych i kobiet o pełnej figurze! – wybuchnęłam.

– Czuję się oszukana przez te wszystkie programy dla narzeczonych. Wyszło na to, że jestem jakaś wybrakowana i nie mieszczę się w asortymencie.

Aż mnie zatrzęśło ze złości. Nie dość, że Oliwka ma stres związany z pracą, ciążą i organizacją ślubu, to jeszcze takie babsztyle potrafią wszystko zepsuć. A wydawać by się mogło, że w salonie ślubnym powinny pracować osoby empatyczne, uprzejme i znające się na rzeczy.

– Oliwka, nie poddawaj się! Może po prostu na felerny salon trafiałaś! Podaj nazwę, to ich obsmaruję online i wystawię im tak złą opinię, że żadna kobieta już tam więcej nie pójdzie! Ola znowu załapała się łzami.

– Też myślałam, że mam pecha. Poszłam do drugiego salonu...

– Iiii? – spytałam czując, jak serce mi zamiera ze strachu.

– Zapytałam najpierw, czy oferują coś w moim rozmiarze. Odparty, że nie, ale mają

krawcową, która przerabia i rozszerza. Gdy podano mi cenę, to aż przełknęłam ślinę z wrażeń. W tym salonie nie było ani jednej sukni poniżej równowartości moich dwóch wypłat miesięcznych! Pani sprzedająca poradziła mi, bym poszukała czegoś niedrogiego w sieciówkach albo na Aliexpress, prosto z Chin. Także tego... kurtyna. Zostaje mi tylko dostawa „made in China”. Albo w białym dresie do ślubu pójść.

I kolejny potok łez popłynął z niebieskich oczu Oliwii.

– Olu, to jakaś bzdura! Przecież zawsze możemy znaleźć piękną używaną suknię i niedrogą krawcową!

– Nie chcę używanej, bo to pecha przynosi. Plus wiązałoby się to z ogarnięciem przeróbek na własną rękę, a ja ani krawcowej nie znam, ani szyć nie umiem.

I nagle mnie olśniło. Poczulałam się, jakbym właśnie wpadła na odkrycie godne nagrody Nobla!

– Kochana, ja znam jednego z najlepszych krawców w tym mieście!!!

Oliwia podniosła na mnie zapłakane oczy.

– Kogo? ...

– Szymon! Mój kumpel Szymek! Pamiętasz go?

– Ten sympatyczny gej? Ale on przecież kostiumy w teatrze robi, nie suknie ślubne!

Spojrzałam na przyszłą bratową z szerokim uśmiechem.

– Szymon potrafi wszystko uszyć, a divy operowe mają porządne gabaryty. Dzwonię do niego natychmiast!

Wyciągnęłam komórkę, ale Oliwa złapała mnie za nadgarstek.

– Mają, ja trochę zaoszczędziłam, lecz nie mam dużo kasy.

– Nic się nie martw!

Wybrałam numer telefonu mojego najlepszego przyjaciela.

– Cześć, słonko! Dlaczego od tygodnia się nie odzywasz? Wisisz mi pizzę! – bąknął Szymek.

– Szymcio, obsypię cię pizzami, złotem i czymkolwiek zechcesz, jak sukienkę uszyciesz!

– Jaką sukienkę? Randkę masz? Z kim?!

Spowiadam mi się, ale już!

– Nie dla mnie, skarbeczku, tylko dla Oliwii, narzeczonej Tomka. Opowiem ci wszystko wieczorem. Wpadniemy do ciebie, dobrze?

Kolega westchnął, zaśmiał się i potwierdził.

– Dziś jestem w domu od siódmej. Przyjdźcie! I zabierzcie pizzę, i wino!

Napisałam Tomkowi, że Oliwia spędzi wieczór ze mną i ignorując jej protesty zabrałam

ją do siebie, po czym prawie na siłę wsadziłam do pachnącej pianką i olejkami wanny, by się zrelaksowała przed spotkaniem z krawcem. W tym czasie zamówiłam pizzę i przygotowałam wino dla Szymka.

Dotarliśmy do jego mieszkania punktualnie. Oliwia zrobiła wielkie oczy, gdy zobaczyła manekiny, miary, maszynę i różne przybory krawieckie.

– Szymon, ty naprawdę jesteś krawcem! – jęknęła.

– Nieee, ja tylko tak się trochę bawię dużymi łalkami. Wyskakuj z dresiku! – rzucił szorstko.

Przyszła bratowa aż się skuliła z przerażenia.

– Co, tak przed obcym facetem?

Postanowiłam interweniować.

– Oliwka, wina na rozluźnienie ci nie damy, bo w ciąży jesteś. Szymon jest zadeklarowanym gejem, twoim osobistym projektantem sukni ślubnej i superczłowiekiem. Nie krępuj się!

Dziewczyna nieśmiało rozpięła bluzę dresu, a Szymon aż zatarł ręce z radości i uśmiechnął się szeroko.

– Śliczna jak księżna susSEX! Zrobię cię na bóstwo, zobaczysz! Kreacja będzie jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna i wyjątkowa. Pokażę ci najpierw różne kolory, materiały i fasony, a ty powiedz, co ci się podoba.

Zerkałam Szymonowi przez ramię, gdy objaśniał Oliwce, że czterema najpopularniejszymi fasonami sukien ślubnych są: rybka (czyli suknia bardzo dopasowana w talii, zakończona efektownym trenem syrenki), princessa (księżniczka, bogato zdobiona i na szerokim kole), litera „A” (z dopasowaną górą, która stopniowo rozszerza się ku dołowi, przyjmując formę trapezu) oraz klasyczna (prosty i minimalistyczny fason). Ciężarna Oliwia szybko zdecydowała się na kształt litery „A”, bo nie ma wyraźnego odcięcia w talii, przez co suknia maskuje wystający brzuszek. Uzgodnili wersję bez rękawów, z dekoltem w kształcie litery V i z muślinowym dołem.

No i się zaczął taniec miary krawieckiej, wykresów i wzorów. Przymierzali, porównywali i dyskutowali do północy, a ja tylko jadłam pizzę, piłam wino i uśmiechałam się z poczuciem dobrze spełnionej misji.

Gdy wychodziliśmy w środku nocy, Oliwia i Szymon już byli umówieni na kolejne przymiarki. Co do ceny też się dogadali. Szymon rzucił „200 euro plus materiał”, a Oliwia ucałowała go w oba policzki z ogromnej radości.

Cieszyłam się, że pomogłam bratowej, ale przykrość, którą sprawiły jej wredne

sprzedawczynie, nie dawała mi spokoju. Ale jeżeli ekspedientki wszystkie „większe” panny młode tak źle traktują, zakładając, że najlepsza klientka to ta z grubym portfelem i chudym tyłkiem? Trzeba temu zaradzić!

Ta myśl nie dawała mi spać w nocy.

Następnego dnia na zajęciach jogi moje uczestniczki zauważyły, że nie jestem w dobrym nastroju. Opisałam im całe zdarzenie (bez podawania imienia Oliwii). Odzew był ogromny. Mnóstwo oburzonych głosów. „Jakby mi jakieś babsko w salonie powiedziało, że powyżej rozmiaru 38 panie nie wychodzą za mąż, to bym zrobiła awanturę na pół miasta!”

Szybko opracowałyśmy strategię działania.

Natychmiast po jodze dziewczyny zaczęły dzwonić do obu salonów i rezerwować terminy przymiarek sukni ślubnych jako „przyszłe panny młode”. Zablokowały chyba wszystkie dostępne dni przez najbliższy miesiąc. Plan był taki, że idziemy wystrojone jak narzeczone rosyjskich oligarchów, przymierzamy wszystkie suknie jak leci i wybrzydząmy przy tym na potęgę. Niech się wredne ekspedientki spocą. A na koniec rzucamy jakiś złośliwy tekst, że jednak tandeta w tym sklepie... Moje

kobietki wyraźnie zacierały ręce z radości na myśl o psikusie.

Ja poszłam na pierwszy ogień. Wyperfumowana (wylałam na siebie pół buteleczki testera najdroższych perfum w drogerii), w sukni pożyczonej ze zbiorów Szymona i z torebką Chanel pod pachą (podróbka, ale dobra), władczym krokiem weszłam do salonu mody ślubnej. Ekspedientki natychmiast zerwały się z miejsc.

– Dzień dobry! Jestem umówiona na godzinę 14:00. Szukam czegoś wyjątkowego na mój ślub w maju. Cena nie gra roli! Ale oczekuję per-fek-cji! Czy panie mnie dobrze słyszały? Per-fek-cji!

– Oczywiście, proszę pani! Tak jest, proszę pani!

Przez ponad godzinę ekspedientki biegały jak króliczki z bateriami Duracell w kuprach, donosząc kolejne suknie, które ja niedbale rzucałam na podłogę. Po przymierzeniu ze dwudziestu egzemplarzy uznałam, że jednak nic mi się nie podoba. Gdy wychodziłam, minęłam się w drzwiach z Gretą z moich zajęć jogi. Mrugnęła mi okiem, po czym przybrała zarozumiały wyraz twarzy.

– Witam! Jakies włoskie wzory sukien? Tylko proszę najnowsze kolekcje, żadnych staroci!

Wysłałam trzęsąc się ze śmiechu!

Dodam, że oba salony obsmarowałyśmy online, wystawiając obsłudze bardzo kiepskie opinie. Może ekspedientki nauczą się, by nie zadzierać z kobietami o pełnych figurach!

Firma Kotykiewicz

polscy budowniczy fisharmonii w Wiedniu

W wiedeńskim kościele Minorytów w prawej nawie stoi instrument muzyczny wyglądem przypominający organy. To tzw. fisharmonia, instrument bardzo popularny na całym świecie na przełomie XIX i XX wieku. Na pokrywie klawiatury widnieje tabliczka firmowa z napisem K.u.K. Hof – Harmonium Fabrik KOTYKIEWICZ Wien. Czyżby nazwisko to wskazywało na związek z Polską?

Sławomir Iwanowski



Fisharmonia koncertowa firmy Kotykiewicz w kościele Minorytów w Wiedniu (po lewej)

Mówiąc o fabryce instrumentów muzycznych „Kotykiewicz”, należy wymienić właściwie trzy osoby: Teofila Kotykiewicza seniora, który założył firmę w Wiedniu, a także jego synów: Teofila Kotykiewicza juniora oraz Emila Kotykiewicza, którzy z powodzeniem prowadzili firmę po ojcu. Oprócz organów wytwarzali fisharmonie, które wyróżniały się niezwykłą jakością. Wiedeńska firma Kotykiewicz słynna była w całej Europie właśnie ze względu na ten instrument.

Instrument o wyjątkowym brzmieniu

Wśród wielu instrumentów muzycznych istnieją także te mniej znane, a do nich zalicza

się fisharmonia. Używana była głównie jako instrument solowy i zapewniała niezwykle, unikatowe brzmienia.

Zewnętrznym wyglądem przypomina niewielkie, przenośne organy, jednak ma zupełnie inną konstrukcję. Składa się z drewnianej obudowy, wewnątrz której na metalowej płycie wbudowane są niewielkie blaszki-języczki, tzw. stroiki, za pomocą których wytwarzany jest dźwięk. Na obudowie znajduje się klawiatura z klawiszami, przy ich naciśnięciu otwiera się przepływ powietrza, którego strumień przepływa przez stroiki, wprawiając je w drgania. Wibrujące stroiki generują wówczas dźwięki, podobnie jak w akordeonie. Fisharmonia może wydawać różnorodne brzmienia, od delikatnych, melodyjnych dźwięków po głębokie, basowe tonacje. Generowane dźwięki mają wyjątkowy charakter, przypominając te wydawane przez organy kościelne.

Instrument jest napędzany przez dmuchawę, którą gracz naciska stopą, aby uruchomić urządzenie zasysające lub tłoczące powietrze. W zależności od kierunku przepływu powietrza wyróżnia się bowiem dwa rodzaje fisharmonii: typu francuskiego, w których powietrze jest tłoczone, oraz typu

amerykańskiego, z systemem zasysającym powietrze.

O popularności fisharmonii zdecydowało to, że w porównaniu do organów jest mała i przenośna. Używana była w mniejszych kościołach, klasztorach, szkołach oraz jako instrument domowy dla klas średnich. Szczyt popularności osiągnęła w okresie od połowy XIX w. do I wojny światowej. Wśród jej producentów największe sukcesy odnosił działający w Wiedniu budowniczy organów i fisharmonii Teofil Kotykiewicz (ur. 1849 r. we Lwowie; zm. 1920 r. w Wiedniu). Z pochodzenia był Polakiem.

Historia firmy

W 1852 roku Peter Titz (1823–1873), uczeń Jacoba Deutschmanna, wiedeńskiego budowniczego instrumentów muzycznych, przejął jego warsztat przy Margareten-gasse 63 i pod nazwą Hof-Harmonien-Fabrik Peter Titz rozpoczął produkcję organów i fisharmonii.

W firmie Titz zatrudnienie znalazł niejaki Teofil Kotykiewicz. Jego młodość nie jest znana, wiadomo natomiast, że był synem polskich emigrantów. Kotykiewicz w firmie Titz nabył gruntowną wiedzę zawodową o sztuce budowy instrumentów muzycznych, jak i duże doświadczenie, ponadto wykazywał się w pracy wyjątkowymi umiejętnościami.

Po śmierci Petera Titz dobrze prosperującą zakład poprowadziła jego żona Anastazja Titz, początkowo sama, potem wspólnie z Teofilem Kotykiewiczem. Od roku 1878 Kotykiewicz samodzielnie zaczął zarządzać firmą, poślubił też Theresę, córkę Titzów. Odtąd zaczął prowadzić sprzedaż instrumentów pod własnym nazwiskiem: K.u.K. Hof – Harmonium Fabrik Kotykiewicz. W owym czasie fisharmonia osiągała szczyt swojej popularności. Teofil Kotykiewicz odpowiadając na rosnące zapotrzebowanie rozwijał produkcję właśnie tych instrumentów, ciągle je ulepszając.

Firma oferowała bardzo zróżnicowane modele fisharmonii, poczynając od tanich, o niewielkich wymiarach i możliwościach, aż do wielkich, mających kilka klawiatur, które kosztowały tyle, co dzisiejszy fortepian koncertowy. Instrumenty budowane przez Kotykiewicza wyróżniały się wysoką jakością, zarówno w zastosowaniu materiałów, jak i wykonaniu. Prezentował on swe fisharmonie na międzynarodowych wystawach, zyskując uznanie, co zostało poparte medalami i nagrodami m.in. w Wiedniu (1880), Egerze (1881), Trieście (1882), Pradze (1891), Lwowie (1894).

Swoje instrumenty prezentował także publicznie podczas koncertów w renomowanych salach. Jeden z nich odbył się w Wiedniu w grudniu 1884 roku w słynnej sali koncertowej Bösendorfera (Bösendorfer-Saal). Zaprezentowany został wówczas nowy model firmy Kotykiewicz – wielka fisharmonia koncertowa. Posiadała trzy manuały, klawiaturę nożną, wiele rejestrów i wydawała aż ponad 800 rozmaitych dźwięków, co wzbudziło powszechny podziw nie tylko u słuchaczy, ale i u grających na niej muzykach. Podczas koncertu zagrani na niej wybitni cesarsko-królewscy nadworni organiści, wykonując utwory Bacha, Schuberta i Mendelssohna. Koncert okazał się ogromnym sukcesem, o czym donosiła międzynarodowa prasa, pisząc o mistrzostwie Kotykiewicza i doskonałości jego instrumentu, np. w Lipsku „Zeitschrift zur Instrumentenbau” z 1 stycznia 1885 roku relacjonował: „To najnowsze dzieło wielkiego mistrza z Austro-Węgier uważamy za jedno z najdoskonalszych, jakie kiedykolwiek słyszeliśmy wśród instrumentów języczkowych”.

Na przełomie XIX i XX w. Kotykiewicz stał się jednym z największych i najlepszych producentów fisharmonii nie tylko w Austro-Węgrzech, ale i w całej Europie. Liczne zamówienia przychodziły z zagranicy, wiele instrumentów było eksportowanych nawet poza Europę. W uznaniu swoich sukcesów

firma Kotykiewicz uzyskała pozwolenie na używanie przez nią, podobnie jak poprzednio jego teść Peter Titz, tytułu nadwornego dostawcy, stąd pełna nazwa firmy brzmiała K.u.k. Hof-Harmoniumfabrik Kotykiewicz (Cesarsko-Królewsko-Nadworna Fabryka Harmonium Kotykiewicz), co świadczyło o jej wysokiej randze.

Mimo że jego instrumenty uważane były za jedne z najdoskonalszych, on ciągle pracował nad ich ulepszaniem. O innowacyjności Kotykiewicza świadczy np. wprowadzenie do fisharmonii mechanizmu zwanego prolongatą, który pozwalał na dalsze wybrzmiewanie wybranych dźwięków bez konieczności trzymania klawiszy przez grającego. Rozszerzeniem możliwości technicznych było także wbudowanie tzw. perkusji, w której małe młoteczki uderzały w stroiki, tworząc w ten sposób własne efekty dźwiękowe. Zawsze zainteresowany innowacjami w budowie instrumentów, Kotykiewicz jako jeden z pierwszych zainstalował w fisharmonii klawiaturę fortepianową, składającą się z sześciu wąskich rzędów klawiszy, opa-



Tabliczka producenta K.u.K. Hof – Harmonium Fabrik KOTYKIEWICZ Wien

tentowaną w 1883 roku przez węgierskiego wynalazcę Paula von Jankó. Model o tej konstrukcji Kotykiewicz ofiarował wiedeńskiemu Muzeum Techniki, aby wynalazek ten mógł być tam publicznie prezentowany, i do dziś się tam znajduje.

Fabryka przez cały czas istnienia, czyli od połowy XIX wieku aż do czasów po II wojnie światowej, mieściła się w 5. dzielnicy Wiednia, w kamienicy przy Straußengasse 18 lub Margaretenstrasse 63 (tylne wejście do budynku), będącej własnością rodziny Kotykiewiczów. Pomieszczenia mieszkalne znajdowały się na górnych piętrach, a warsztat i salon wystawowy, gdzie prezentowano gotowe instrumenty, na parterze. Budynek ten zachował się do dziś, jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku na niemal całej szerokości frontu budynku widniał duży napis „Harmoniumbau Kotykiewicz”.

W polskich sprawach

Teofil Kotykiewicz był nie tylko uznanym przedsiębiorcą, ale i jednym z najbardziej zasłużonych działaczy wiedeńskiej Polonii. Utrzymywał ściśle kontakty z Polakami przebywającymi w Wiedniu, m.in. angażował się w pomoc polskim przedsiębiorcom osiadłym w Austrii (był aktywnym członkiem Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Rzemieślników i Robotników Polskich w Wiedniu „Siła”). Aktywny był także w dziedzinie artystyczno-oświatowej (sprawował funkcję prezesa Polskiego Związku Towarzystwa „Lutnia”, przy którym działał chór męski i mieszany).

Cieszył się dużym autorytetem, przez co został wytypowany przez Polonię wiedeńską do Komitetu Kościoła Polskiego, powołanego

w 1893 roku. W skład Komitetu, którego celem było umożliwienie uczestnictwa Polaków w Wiedniu w mszach odprawianych w języku polskim, weszli polscy postowie do austriackiego parlamentu, działacze polonijni i przedsiębiorcy. Jak pisała wówczas „Gazeta Wiedeńska”, „brak kościoła polskiego spowodował zniemczenie się tysięcy Polaków od wielu lat i tak długo trwać będzie, dopóki Polacy nie będą mieli w Wiedniu polskiej parafii kościelnej”. Cesarz Franciszek Józef I przychylił się do wniosku Polaków i w 1897 roku przekazał polskiemu zakonowi Zmartwychwstańców kościół św. Krzyża przy ulicy Rennweg 5.

W roku 1894 Teofil Kotykiewicz był jednym z założycieli Stowarzyszenia Polskiego „Strzecha” – jako członek komitetu założycielskiego i zarządu. Charakterystyczna nazwa „Strzecha” miała dla ówczesnych Polaków symboliczne znaczenie. W pamiętniku zatytułowanym *Patrząc wstecz* emigracyjny pisarz Ferdynand Goetel tak zapisał: „Skądżesz wzięła się ta stara organizacja polska o wymownej nazwie »Strzecha«. Założyli ją dawnymi czasy Polacy, którzy widocznie bali się wynarodowienia, pamiętając pierwsze dziesięciolecie panowania Franciszka Józefa”.

Angażował się także w opiekę nad polskimi uchodźcami, którzy podczas I wojny światowej szukali schronienia w Austrii, a w fabryce instrumentów zatrudniał swoich rodaków.

Teofil Kotykiewicz zmarł 19 lutego 1920 roku i został pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Centralnym (grupa 89, rząd 34, numer 41). Pochowani tam są także: jego żona Therese Kotykiewicz z domu Titz, a także jego syn Teofil Kotykiewicz junior z żoną Mathilde Kotykiewicz oraz niejaka Josefine Mikulski, której tożsamość nie jest znana.

Druga generacja przedsiębiorców

Po śmierci Teofila seniora właścicielami zakładu zostali jego dwaj synowie: Teofil Kotykiewicz junior (1880–1971) oraz Emil Kotykiewicz (1882–1943). Kontynuowali działalność ojca i podobnie jak on realizowali swe pasje konstruktorsko-wynalazcze, wprowadzając własnego pomysłu innowacje techniczne. Firma przetrwała I wojnę światową i w okresie międzywojennym nadal odnosiła sukcesy.

Kotykiewiczzowie budowali różnej wielkości fisharmonie, od niewielkich jednonaświetlowych (z jedną klawiaturą) aż do koncertowych – trzymanuałowych z wieloma rejestrami. Dzięki doskonałej jakości cieszyły się dobrą opinią, a niewysoka cena sprzyjała ich rozpowszechnieniu. Większość fisharmonii była zamawiana jako instrument zastępujący organy do niewielkich kościołów, kaplic, klasztorów, mieszczańskich domów dla tzw. domowego muzykowania, salonów, sal koncertowych. Nawet w kościołach posiadających duże organy piszczałkowe można było znaleźć ten instrument.

Niewielkie, lekkie fisharmonie Kotykiewiczza cieszyły się popularnością szczególnie w szkołach. Dlatego też decyzją Rady Miasta Wiednia w 1887 roku wiedeńskie szkoły zostały wyposażone w taki instrument (tzw. fisharmonia szkolna „Schul-Harmonium”). Jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku używano ich na lekcjach muzyki jako instrumentu najbardziej odpowiedniego do nauki śpiewu, o czym wiedzą jeszcze starsze pokolenia.

Firma istniała jeszcze po II wojnie światowej, jednak lata sukcesu miała za sobą. Po śmierci Teofila

Kotykiewiczza juniora ślad po firmie znika na początku lat 70. Dorobek firmy został przekazany w 1973 roku przez Wilhelma Großmanna, kuzyna Teofila Kotykiewiczza juniora, Muzeum Techniki w Wiedniu i tam jest do dziś przechowywany. Potomkowie tej rodziny najprawdopodobniej nie mieszkają już w Wiedniu.

Prawie zapomniani

Dzisiaj fisharmonia jest instrumentem praktycznie zapomnianym. Wyparta została niemal całkowicie przez organy elektroniczne i sporadycznie rozbrzmiewa w kościołach. Nieliczne egzemplarze jeszcze gdzieś się zachowały, jednak większość z nich przez wiele lat nieużywana znajduje się w złym stanie technicznym. Z roku na rok tych instrumentów pozostaje coraz mniej. Egzemplarzy fisharmonii Kotykiewiczza zachowało się do dzisiaj niewiele i wszystkie są absolutnie unikatowe.

Jeden z trwałych śladów jego działalności znajduje się właśnie w wiedeńskim kościele Minorytów i stanowi cenny element kultury i dziedzictwa muzycznego. Niestety, wspólne okazały się losy fisharmonii i jej najlepszych producentów – rodziny Kotykiewiczów. Zarówno fisharmonia, jak i oni sami ulegli zapomnieniu.

Dawniej organy znajdowały się w centrum życia muzycznego. Każdy kompozytor w epoce przed J.S. Bachem był jednocześnie organistą, a gra na organach budziła wielki szacunek tak do osób grających i kompozytorów, jak i samych instrumentów. Powszechnie znani są budowniczy instrumentów muzycznych, jak chociażby wytwórca skrzypiec Antonio Stradivari. Niestety ci, którzy budowali organy, nie są już tak znani, mimo że na to zasługują. Spróbujmy więc naprawić te zaniedbania wobec wspaniałych organistrów, do których zaliczali się Kotykiewiczowie. Z uwagi na swój wkład w rozwój muzycznej kultury Wiednia zasługują oni, aby ich nazwisko było uhonorowane chociażby przez umieszczenie na tablicy pamiątkowej na budynku przy Straussengasse 18, gdzie mieściła się ich fabryka. W kontekście budowy organów, w szczególności fisharmonii, byli bowiem jednymi z najwybitniejszych nie tylko w Austro-Węgrzech, ale i całej Europie przełomu XIX i XX w.

A Polaków cieszyć może fakt, że w Wiedniu, mieście o tak wspaniałych tradycjach muzycznych, istniała wytwórnia instrumentów prowadzona przez polskich budowniczych, która zdołała zapracować sobie na tak wspaniałą renomę.

Prezydent Polski Andrzej Duda wraz z małżonką z wizytą w Wiedniu

Relacje dwustronne, jedność europejska oraz wojna w Ukrainie były tematami rozmów w Wiedniu Prezydenta RP, Andrzeja Dudy.

14 kwietnia 2023 r. prezydent RP złożył wizytę w Wiedniu. Andrzej Duda i jego małżonka Agata Kornhauser-Duda zostali przywitani przez prezydenta federalnego Alexandra Van der Bellena oraz Pierwszą Damę Austrii Doris Schmidauer i przyjęci z honorami wojskowymi.

Andrzej Duda podziękował Van der Bellenowi za zaangażowanie Austrii w upamiętnienie ofiar niemieckiego narodowo-socjalistycznego terroru w byłym obozie koncentracyjnym w Gusen. Zapowiedział, że Polska chce tam utworzyć stałą ekspozycję upamiętniającą ponad 20 tys. zamordowanych Polaków. W harmonogramie wizyty prezydenta znalazły się także spotkania z kanclerzem federalnym Austrii Karlem Nehammerem i przewodniczącym Rady Narodowej Wolfgangiem Sobotką. Obaj prezydenci zgłosili zamiar podtrzymania dobrej współpracy gospodarczej między Polską i Austrią.

Oprócz stosunków dwustronnych jednym z głównych tematów była wojna na Ukrainie. W komunikacie biura Nehammera, w związku z wojną w Ukrainie napisano, że Polska jest wiarygodnym partnerem europejskim i dokonała nadzwyczajnych czynów, „jeśli chodzi o ludzi wypędzonych ze swoich domów”. I dalej: „Od wybuchu rosyjskiej wojny napastniczej przeciwko Ukrainie stosunki dwustronne uległy dalszej intensyfikacji. Również stosunki gospodarcze od lat rozwijają się bardzo pozytywnie. Austria jest w pierwszej dziesiątce inwestorów w Polsce i dzięki lokalnym inwestycjom stworzyła ponad 45 tysięcy miejsc pracy. Tylko w 2022 roku łączna wielkość wzajemnej wymiany towarów wyniosła około 14,2 mld euro” – czytamy w komunikacie.

Po rozmowach z prezydentem Austrii Andrzejem Dudą na wspólnej konferencji prasowej podkreślił gotowość Polski do dalszego



Prezydenci Andrzej Duda i Alexander Van der Bellen wraz z małżonkami



Agata Kornhauser-Duda w Pierwszej Społecznej Szkole Polskiej w Austrii



Małżonki Prezydentów Polski i Austrii w Muzeum Dzieciątka ZOOM

silnego wsparcia wojskowego dla Ukrainy. – Ukraina powinna być jak najszybciej zbliżona do UE, podobnie jak Bałkany Zachodnie i Republika Mołdowy. Wiemy, jak ważne jest bycie częścią UE – zapewnił. – Polska szanuje austriacką neutralność, ale byłaby szczęśliwa, gdyby Austria mogła dostarczyć więcej towarów niewojskowych, takich jak kamizelki ochronne i maski, bo to uratowałyby jeszcze więcej istnień ludzkich.

Alexander Van der Bellen również potępił imperialną wojnę Rosji przeciwko Ukrainie. Samokrytycznie przyznał, że długo nie traktował poważnie rewizjonistycznego stanowi-

ska Władimira Putina. Podkreślił, że zgadza się z Andrzejem Dudą, iż Unia Europejska musi nadal stać za demokratyczną Ukrainą.

Prezydent RP Andrzej Duda spotkał się także z dyrektorem generalnym Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Rafaelem Mariano Grossim. Rozmowa dotyczyła m.in. bezpieczeństwa funkcjonowania elektrowni atomowych na obszarze Ukrainy.

Podczas wizyty w Austrii prezydentowi RP Andrzejewi Dudzie towarzyszył szef Biura Polityki Międzynarodowej, minister Marcin Przydacz. Bezpieczeństwo w kontekście agresji rosyjskiej na Ukrainę oraz potrzeba budowania jedności europejskiej to tematy, które dominowały w dwustronnych rozmowach z austriacką minister ds. europejskich, Karoline Edtstadler.

Pierwsza Dama w Wiedniu

Podczas wizyty w Wiedniu Agata Kornhauser-Duda odwiedziła Pierwszą Społeczną Szkołę Polską w Austrii. Pierwsza Dama włączyła się w zajęcia czterech klas, podczas których rozmawiano o krakowskich legendach, symbolach narodowych, Polakach za granicą czy zapobieganiu konfliktom.

W trakcie wizyty w Wiedniu Małżonka Prezydenta odwiedziła także Integracyjną Wspólnotę Mieszkalną Caritas dla dzieci, wspierającą najmłodszych pochodzących z rodzin potrzebujących lub dotkniętych kryzysem, w tym dzieci niepełnosprawne. Szef austriackiego Caritas podziękował za zaangażowanie Polski na rzecz ofiar wojny w Ukrainie oraz za wysiłki w tym zakresie polskiego przedstawicielstwa Caritas.

Agata Kornhauser-Duda wspólnie z Doris Schmidauer odwiedziły Muzeum Dzieciątka ZOOM w Wiedniu i zapoznały się z dorobkiem tej instytucji. ZOOM to centrum edukacyjne, w którym odbywają się zajęcia i warsztaty dla dzieci do 14 lat. Agata Kornhauser-Duda pogratulowała personelowi Muzeum, podkreślając, że placówka ta we wspaniały sposób zachęca najmłodszych do rozszerzania wiedzy, wzbudzając w nich ciekawość świata i wychodząc naprzeciw ich różnorodnym zainteresowaniom.

Ces. krol. Fabryka Harmonij. Teofil Kotykiewicz

c. k. dostawca nadworny

W WIEDNIU

V. Margarethenstrasse 63. wejście Straussengasse 18.



Ilustrowane książki i cenniki na żądanie franko

Reklama firmy Teofila Kotykiewiczza w czasopiśmie „Das Pianoforte” (Drezno, 1912 r.)

Alimenty na byłego małżonka wg prawa austriackiego, cz. 1

Rozwiedzione pary mogą w drodze umowy w dowolny sposób uregulować zobowiązanie i wysokość alimentów względem siebie. W przypadku braku porozumienia, zastosowanie mają przepisy ustawowe § 55a ust. 2 i 66 do 80 Ehegesetz (EheG).

Agata Wolińska-Umschaden

Ustawowe roszczenia alimentacyjne są zależne od tego, czy rozwód został orzeczony z orzeczeniem o winie (*Scheidung mit Schuldspruch*), bez orzekania o winie (*Scheidung ohne Schuldspruch*) lub czy jeden z małżonków wychowuje i zajmuje się dziećmi.

Celem wyliczenia wysokości alimentów niezbędne jest uwzględnienie różnych czynników. Czy istnieją dalsze obowiązki alimentacyjne? Czy są dzieci/małżonek z wcześniejszego małżeństwa? W jakiej wysokości realizowane były zobowiązania alimentacyjne w trakcie trwania małżeństwa na drugiego małżonka? Czy uprawniony do alimentów posiada własne dochody?

Rozwód z orzeczeniem o winie

W przypadku rozwodu z orzeczeniem o winie, małżonek wyłącznie lub w przeważającym stopniu winny rozpadu małżeństwa co do zasady jest zobowiązany do zapłaty alimentów na rzecz drugiego małżonka. Warunek stanowi jednak jego zdolność finansowa, umożliwiająca realizację zobowiązania. Wysokość uzależniona jest od stylu życia uprawnionego, jednakże winna pokryć wyłącznie uzasadnione potrzeby. Znaczenie ma również fakt, czy uprawniony jest w stanie sam się utrzymać, czy też nie.

W przypadku, gdy uprawniony nie otrzymuje wynagrodzenia, wysokość alimentów plasuje się na wysokości 33% wynagrodzenia netto zobowiązanego do zapłaty alimentów.

Jeżeli uprawniony posiada własne wynagrodzenie, wówczas otrzymuje 40% zsu-

mowanego wynagrodzenia netto własnego i zobowiązanego do zapłaty alimentów, po odjęciu wynagrodzenia własnego.

Wysokość świadczeń alimentacyjnych obniża się poprzez dalsze zobowiązania alimentacyjne (np. alimenty na dzieci).

W przypadku, gdy oboje małżonkowie ponoszą równą winę za rozpad małżeństwa, w zasadzie nie przysługuje żadnemu z nich prawo do świadczeń alimentacyjnych. Wyłącznie w sytuacji, gdy jeden z małżonków nie jest w stanie sam się utrzymać, sąd może zdecydować o obowiązku alimentacyjnym (*Billigkeitsunterhalt*). Stanowi on co do zasady 10–15% wynagrodzenia netto zobowiązanego.

UWAGA! Pomimo iż sąd stwierdzi, że małżonek wnioskujący o rozwód jest winny rozpadu małżeństwa, ale prowadzi gospodarstwo domowe i z tego powodu nie może wykonywać pracy zarobkowej, może zasądzić na rzecz tego małżonka alimenty.

Rozwód bez orzekania o winie

W przypadku rozwodu bez orzekania o winie co do zasady prawo do otrzymania świadczenia alimentacyjnego ma wyłącznie małżonek, który nie wniósł pozwu rozwodowego i wyłącznie na zasadach słuszności (*Billigkeit*). Znaczenie mają również stosunki małżonków względem siebie, zobowiązania alimentacyjne w stosunku do innych krewnych, małoletnich dzieci, nowych małżonków. Tak długo, jak małżonek (bez znaczenia, czy ponosi winę za rozpad małżeństwa) nie jest w stanie utrzymać się sam z uwagi na wychowanie i opiekę nad małoletnimi dzieć-



mi, przysługuje mu prawo do alimentów. Podobnie prawo do alimentów ma małżonek, który prowadzi gospodarstwo domowe lub sprawuje opiekę nad krewnym i z tego powodu nie może podjąć pracy zarobkowej, lub nie będzie mógł w przyszłości (z uwagi np. na brak doświadczenia zawodowego, wiek, stan zdrowia, długość małżeństwa).

W powyższych przypadkach wysokość alimentów uzależniona jest od potrzeb uprawnionego.

Aby nie utracić prawa do alimentów, należy pamiętać o następujących zasadach:

- nie wyprowadzać się natychmiast, bowiem może zostać uznane to jako podstawa rozpadu małżeństwa,
- zbierać dowody na „występek małżeński” (podstawę rozpadu małżeństwa), prywatny detektyw może okazać się w tym pomocny,
- ustalić sytuację finansową, zgromadzić informacje w tym zakresie i skopiować niezbędne dokumenty (polis, numery kont oszczędnościowych, akcje itp.),
- skontaktować się z adwokatem (nieprofesjonalne porady powodują jedynie frustrację),
- zachować istotne informacje wyłącznie dla siebie i nie dzielić się nimi z „przyjaciółmi” czy krewnymi.

VII Marsz Pamięci Mauthausen-Gusen

Ponad 10 tysięcy osób uczestniczyło w tegorocznej centralnej uroczystości upamiętniającej 78. rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen, która odbyła się w niedzielę 7 maja 2023 roku. Aż 130 delegacji z całego świata złożyło wieńce, oddając cześć zamordowanym.

Po uroczystościach na byłym placu apelowym polskie delegacje uczestniczyły we Mszy św. odprawionej przy polskim pomniku.

Tutaj też rozpoczęła się trasa VII Marszu Pamięci Mauthausen-Gusen, organizowanego przez redakcję pisma „Polonika”. Uczestnicy szli tą samą drogą, którą codziennie przemie-

rzali ludzie w pasiakach, których uczyniono numerami i którzy mieli zostać na zawsze zapomniani. Marsz Pamięci to wyraz hołdu dla polskich ofiar i dla wszystkich więźniów, którzy cierpieli i umierali w obozie Mauthausen-Gusen i jego 49 podobozach na terenie całej Austrii. W tym roku w czasie Marszu przypomnieliśmy twarze schowane za numerami obozowymi. Harcerze z ZHP Szczep „Gniazdo” w Austrii nieśli portrety kilkudziesięciu spośród tysięcy zamordowanych Polaków.

Dziękujemy harcerzom, a także młodzieży ze Szkoły Polskiej im. Jana III Sobieskiego w Wiedniu i Polonii austriackiej za aktywne uczestnictwo w Marszu.

Opis trasy i historia obozu Mauthausen-Gusen znajdują się w dwujęzycznym przewodniku autorstwa Sławomira Iwanowskiego na stronie: www.polonika.at:



PL



DE



Wiedeń zupełnie „inaczej”

W powszechnym mniemaniu Wiedeń to synonim pięknej architektury rodem z epoki Freuda i Klimta. Niegdyś stolica 57-milionowej monarchii, a dziś dużo mniejszego kraju, nadal jest miastem, w którym sale koncertowe, teatralne i muzealne wypełnione są po brzegi. Ale nie tylko!

Ewa Steinhardt

Za sprawą wielokulturowej przeszłości miasta wykształciły się u jego mieszkańców zabawne manery, a także cechy uchodzące nawet za mieszczańskie przywary. Barwny język, który oscyluje między literackim „wysokim niemieckim” a żargonem i dialektem, to także pozostałość historyczna. Monarchia była przecież konglomeratem wielu narodowości. Nazwa „prawdziwy wiedeńczyk” wywodzi się właśnie stamtąd. A jego język, jak i przywary są „wienerisch”. Oto kilka typowo wiedeńskich smaczków.

Urzędnik

Wysoka ranga urzędnika w Wiedniu to pozostałość z czasów panowania cesarza Franciszka Józefa. Długo panujący władca, który przegrywał wojny i dyplomatyczne spory, stworzył wokół siebie silny aparat biurokratyczny. Zarządzanie wewnętrzne nadawało wtedy nowy status państwu, przez co posada urzędnika urosła do kultowego zawodu. Nie było w monarchii bardziej prestiżowego zajęcia dla dobra ludności. Dzień w dzień cesarz siedział od rana do późnych godzin przy swoim biurku w pałacu Hofburg i przyjmował interesantów. Historycy, słusznie lub nie, wyjaśniali tę jego ciężką pracę jako akt desperacji z powodu utraty rzeczywistej władzy, a czas panowania nazywali wielką audiencją. Na jego biurku piętrzyły się wciąż akta dziwnych spraw z podległych mu krajów.

Tą biurokracją Austria jest przesiąknięta aż do dziś. Właściwie boimy się urzędnika, często jesteśmy całkowicie zdani na jego przychylną czy dobrą nastrój. Nie zawsze

reprezentuje on przepisy, interpretując je w sposób umowny i mało obiektywny. Stereotypowo urzędnikiem w Wiedniu jest najczęściej surowa, mało życzliwa i niezbyt obiektywna kobieta, która z racji urzędu traci swoją kobiecość. Jej płeć staje się „ogólna”.

Każda sprawa składa się z aktu wstępnego, aktu głównego i aktu końcowego. Niezliczona ilość formularzy, które dostajemy przy okazji, z góry nastawia nas negatywnie. Często nieznamość pewnych kruczków prawnych oznacza mnóstwo straconego czasu, co rodzi ciągle zniechęcenie wobec pracy urzędów. No cóż... Następny proszę!

Pani Doktor

Nie jest to profesja medyczna, tylko określenie żony wysoko postawionego w wiedeńskich kręgach męża. To bardzo wiedeński zwyczaj, sięgający także korzeniami czasów cesarstwa. W wyższych sferach stołecznych, w których obracają się dyrektorzy, przemysłowcy, właściciele znaczących posiadłości i latyfundiów, wykształceni spadkobiercy znaczących nazwisk, najważniejszą rolę odgrywa zawsze mężczyzna – nadal, niestety... To on dostaje najlepszą łożę na balu w operze, eksponowane miejsce na cmentarzu, a nawet małą garsonierę na flirtowanie w pięknej dzielnicy w centrum. Jego dzieci uczęszczają do drogich szkół prywatnych, a wieczorem odwiedzają renomowane szkoły taneczne.

Wszystko to organizuje żona, która w swojej edukacji nie doszła często nawet

do poziomu... matura, a mówi się, że skończyła studia. Jest ona całkowicie oddana rodzinie. Pewną formą „docenienia” jej poświęcenia jest właśnie tytuł „Pani Doktor”. Dostaje go w nadmiarze – w aptece: lekarstwo do odbioru Pani Doktor; w kasie teatru: bilety odłożone dla Pani Doktor; w drogerii: dziękujemy Pani Doktor; u lekarza: następna Pani Doktor; w serwisie samochodowym: na wieczór gotowe, Pani Doktor; w kawiarni: jak zawsze melange dla Pani Doktor.

Tytułomanię zawdzięcza Wiedeń najbardziej znanej wiedence, Marii Teresie. Ostatnia księżniczka z domu Habsburgów była co prawda rządzącą królową, nie zaś cesarzową. Cesarzem był jej mąż Franciszek

I Lotaryński. Jak każda żona cesarza, była jednak cesarzową tytułowaną. Także cesarzowa Elżbieta, pomimo tego, iż mniej przemawiała się pochodzeniem otaczających ją osób, przebywała towarzysko tylko w kręgach arystokracji. Do salonu wpuszczano co prawda elity finansowe i artystyczne, ale spełniać one musiały wysublimowane warunki estetyczne i edukacyjne. Elegancja i zamożność to tylko podstawowe cechy, bez których nie można było się pojawić w towarzystwie cesarzowej.

Współczesna Pani Doktor najczęściej nie zamieszkuje już w pałacach, nie zaprasza na domowe bale, ale nadrabia hucznymi przyjęciami urządzanymi przez siebie w ogrodzie. Naturalnie musi być widziana na wernisażach, odczytach i wydarzeniach kulturalnych. Z reguły żona-męża nie zabiera głosu w dyskusjach politycznych, jedyną dozwoloną opinią jest „jeżeli innym się powodzi, to nam też się może dobrze powodzić”. Niech żyje egoizm!

Jego Cesarska Wysokość

Bardzo wiedeńska, a zarazem niespotykana i fascynująca jest historia pochówku Habsburgów w kryptach kościoła oo. kapucynów. Kościół Kapucynów to jeden z naj-

starszych zabytków Wiednia, gdzie mieściła się Krypta Cesarza. Od roku 1633 chowano tam ciała Habsburgów. Kapucyni z kolei to żebraczy zakon, stąd nieprzypadkowo wybrano ich świątynię na miejsce pochówku dla władców, aby okazać skromność przed majestatem Boga.

Przykładem tego była ceremonia żałobna, w czasie której przeor przed wprowadzeniem trumny do kościoła pytał: *Kto pragnie wejść?* Na co marszałek dworu odpowiadał: *Jego wysokość cesarz Austrii, król Węgier.* Mnich ponownie pytał: *Nie znam nikogo takiego! Kto chce wejść?* W odpowiedzi słyszał: *Cesarz, król Węgier, król Dalmacji, Chorwacji, Słowenii, Galicji, Lodomerii, Wielki Księżę Siedmiogrodu, Wielki Księżę Toskanii i Krakowa, Księżę Lotaryngii i Salzburga, Styrii, Koryntii i Krainy.* Przeor mimo to pytał dalej: *Nie znam cię! Kto chce wejść!?* Słyszcząc te słowa marszałek klękał i mówił: *Pokorny grzesznik, który prosi o Bożą łaskę.* Wówczas orszak mógł przekroczyć progi kościoła.

Dla Habsburgów śmierć była źródłem wielkiej fascynacji. Ta fascynacja została utrwalona w wiedeńskiej obyczajowości. Pogrzeb to pewnego rodzaju misterium. Do dziś mieszkają w stolicy ludzie, którzy

zakładają osobne konta w banku z przeznaczeniem na wystawny pochówek. Nic dziwnego zatem, że Cmentarz Centralny należy do jednej z największych nekropoli w Europie. Na wieki wieków!

Kasperl und Pezi

Dwie śmieszne figurki niby teatryku lalkowego dla dzieci, dwie śliczne marionetki: pajacyk i misiek. Cotygodniowy serial wyświetlany był zawsze w środę, ściągając widownię zarówno z miasta, jak i prowincji. Teatryk gościł w małych zamkowych scenach, domach milionerów, szkołach i przedszkolach. Kto wyrósł z tym teatrykiem, rozumie doskonale powiedzenie: „Ein echter Wiener geht nicht unter” (Prawdziwy wiedeńczyk zawsze da sobie radę).

Kasperl i Pezi byli w Austrii bardziej popularnymi postaciami niż Batman i Robin. Stanowili zarazem „obserwatorium” wiedeńskiej duszy w gorzko-słodkim, scenicznym wydaniu. Co prawda marionetki miały bawić dzieci, ale przekazywane treści były często mało poprawne politycznie. Cudzoziemcy byli przedstawiani trochę zabawnie, trochę złośliwie, a historie opowiedziane przez misia Pezi wydawały się dziwnie tajemnicze. Kultowy misiu spędzał swoje dzieciństwo w domku jednorodzinny pełnym ponurych tajemnic i dziwacznych mebli wraz ze śmiesznymi dziadkami Petz.

Naturalnie rodzina Pezi mogła utrzymywać kontakty tylko z „poprawnymi” mieszczańskimi rodzinami. A towarzysz Kasperl, pajacyk i klaun, w podejrzanie śmiesznym ubraniu z białą czapką błazna na głowie i kaftanie z dzwoneczkami był trochę uosobieniem niegrzecznego, skłonnego do psot chłopca. „Krawutzikapuzi”, często powtarzane przez misia Pezi słowo, zdradza jego bałkańskie pochodzenie, które jest jednak zamaskowane. Pomimo pewnych ukrytych „niepoprawności” figury te ilustrowały oblicze prawdziwych wiedeńczyków, wywodzących się z bliżej nieokreślonej prowincji. 250 odcinków „Familie Petz” przeszło tak czy owak do austriackiej historii.

„Krawutzikaputzi”!

To tylko kilka wybranych cymesików wokół „wiedeńskiej duszy”, opracowanych na podstawie ciekawej lektury *Wien wirklich – Von Amtsperson bis Würstelmann*. Andrea Maria Dusl, prywatnie psycholog i sędzia, w dowcipny, a zarazem dosadny sposób opisuje ukryte przywary mieszkańców austriackiej stolicy. To wysmakowany zbiór esejów o wielkim europejskim mieście z nutą tragicomicznej melancholii.



Dążyć do doskonałości

Przy okazji wiedeńskiej premiery spektaklu „Kwartet” według Bogusława Schaeffera rozmawiamy z Mikołajem Grabowskim, reżyserem przedstawienia. Wraz z odtwórcami głównych ról, Janem Peszkim, Janem Fryczem i Andrzejem Grabowskim, przybył on na zaproszenie Polnischer Bildungs- und Kulturverein in Österreich.

Rozmawia Anita Sochacka

Sztuka „Kwartet” miała swoją premierę w Wiedniu 11 marca 2023 roku, w jubileusz 50-lecia jej obecności na deskach scenicznych. Co Pańskim zdaniem stoi za sukcesem spektaklu?

– „Kwartet” to rzeczywiście wyjątkowy spektakl. Autorem tekstu jest Bogusław Schaeffer, kompozytor i dramaturg. To jego pierwsza „sztuka” napisana dla aktorów Ensemble MW2. W latach 60. i 70. XX w., Schaeffer prócz komponowania muzyki zaczął pisać coś w rodzaju sztuk teatralnych i stopniowo wprowadzał je na scenę. Oprócz aktora mówiącego tekst, również mima oraz balerinę. Idealnie pasowała ta forma do teatru instrumentalnego, jaki często uprawiał zespół MW2. Podobało się to nie tylko polskiej publiczności, bo ze spektaklem jeździliśmy po Europie i całym świecie.

„Kwartet” jest utworem z pogranicza teatru i muzyki, z elementami teatru absurdu: wciąż ciekawy i nieodgadniony, bo takie założenia przyjął jego autor. Wykonujemy „partyturę” Schaeffera o tym, że czterech aktorów chce stworzyć najlepszy kwartet na świecie, ale im się to nie udaje. To wymarzone brzmienie kwartetu nie pojawia się.

W przedstawieniu nie opowiadamy żadnej historii, a ludzie przecież po to przychodzą do teatru, by usłyszeć opowieść. Tu jednak jest opowieść – o czterech aktorach, którzy usiłują być lepsi, jeden wobec drugiego, wobec siebie samych, wobec publiczności. Jeźli coś jest anegdotą w tym utworze, to właśnie my nią jesteśmy. To my w gruncie rzeczy, w czasie akcji, opowiadamy o sobie, zachęceni przez autora jego wskazówkami. Ten spektakl zawiera tyle humoru, absurdu i zaskakujących sytuacji, że mimo tych 50 lat ma się całkiem dobrze. Za każdym razem, gdy gramy, publiczność młodsza czy starsza odbiera nas – wydaje się – ze szczerością i radością. „Kwartet” zakrawa o kabaret, czasem drwi z samego siebie, czasem jest

poważny. Ma swoją dyskretność, swoją poetyckość, nie przekracza pewnych norm, jak dzisiejsze kabarety, które potrafią być brutalne. My nie sięgamy tak daleko. Aura teatru lat 70., oddech teatru absurdu jest bardzo czytelny. Takich realizacji w Polsce dzisiaj chyba już nie ma.

Jakim okolicznościom zawdzięczamy wizytę czterech znakomitych krakowskich aktorów w Wiedniu i czy można liczyć na bis?

– Zapropował nam to nasz impresario, który ma kontakty również w Wiedniu. Chętnie przystaliśmy na tę propozycję. Wiedeń jest miastem, do którego zawsze chętnie się wraca. Spędziłem tu sporo czasu. Chodzę po tutejszych ulicach, jak po swoich. Chętnie przyjechalibyśmy ponownie, np. ze „Scenariuszem dla trzech aktorów”, który miał swoją premierę w Teatrze STU.

Bilety na spektakl wykupione na pniu, sala w wiedeńskim Veranstaltungszentrum PAHO wypełniona po brzegi, wybuchy śmiechu w trakcie spektaklu, gorący aplauz publiczności. Te sceny niewiele różnią się od scen w Polsce, gdzie od lat z wielkim powodzeniem wystawiano „Kwartet”. Co sprawia, że aktorzy niestrudzenie, po raz kolejny, wcielają się w rolę, której znaczącą część stanowi... improwizacja?

– Wystawiłem „Kwartet” w teatrze Jarczaka w Łodzi, jakiś rok po ukończeniu Wydziału Reżyserii w krakowskiej Szkole Teatralnej. Z utworem tym pojechaliśmy na Festiwal Małych Form Teatralnych do Szczecina, gdzie przedstawienie zgarnęło wszystkie możliwe nagrody. I wtedy zaczęła się nasza z nim przygoda. „Kwartet” to przygoda, mamy scenariusz – partyturę, ale co się zdarzy naprawdę w trakcie gry, nie wiadomo. Ważne jest, żeby aktor był otwarty na innego aktora, na niespodzianki, na zmiany; musimy być



Spektakl „Kwartet” w Wiedniu

przezo aktywni w stu procentach, podjąć wyzwanie, jakie danego dnia uniesiemy. Nie „odbębniemy” roli, tylko za każdym razem ją tworzymy, dzięki czemu „Kwartet” nigdy nie spadł poniżej swojego poziomu. To sto procent aktywności aktora na scenie, jest jego siłą, dlatego grając „Kwartet” nie nudzimy się: towarzyszy nam napięcie i naprężenie, ale też luz i swoboda.

Oddając głos bohaterom sztuki Bogusława Schaeffera: co stanowi o sensie życia, sztuki, teatru? A może o opinie należałoby spytać widzów?

– Schaeffer cytował słowa Beethovena, że ten mógł 5. Symfonię napisać lepiej, a my przecież słuchamy tej symfonii jako arcydzieła. W tym tkwi tajemnica dzieła, obrazu, filmu, sztuki, że zawsze może mieć lepsze wykonanie. Pod koniec „Kwartetu” Andrzej Grabowski wypowiada sentencję: *Dyskusja jest bardzo ciekawa, pora podsumować. Podsumuję jednym zdaniem – najważniejsza jest intencja*. Sztukę można robić lepiej albo gorzej, ważna jest tu nasza odpowiedzialność wobec sztuki, odpowiedzialność za siebie, nieustanne dążenie do doskonałości. To jest sens tej opowieści. Można tę opowieść „Kwartetu” przełożyć na sztukę życia: my też samymi sobą opowiadamy książkę naszego życia. Nasze – aktorów – starania rymują się z tym, co widz czuje w sobie: doskonalenie się. To dążenie do doskonałości przenosi się bezpośrednio na widza. Bo chyba każdy ma w sobie taką potrzebę.

IV Gala Sportu Polonijnego w Austrii

15 kwietnia 2023 r. w Grosses Schutzhau Rosental w Wiedniu odbyła się IV Gala Sportu Polonijnego w Austrii, którą uroczystie otworzyli Sylwia Szpak i Julian Gaborek. Muzycznym akcentem wprowadzającym w atmosferę Gali był występ artystki Ewy Paprotnej.

Podczas IV Gali Sportu Polonijnego w Austrii przyznane zostały tytuły i wyróżnienia za 2022 rok. Wszyscy wyróżnieni sportowcy otrzymali pamiątkowe statuetki i dyplomy.

O dobrą muzykę na balu zadbał zespół „Rythmus” oraz Ula i Staszek.

Polonia austriacka solidaryzuje się z Ukrainą, dlatego w trakcie imprezy przeprowadzono zbiórki, a zebrane pieniądze zostaną przekazane na konto stowarzyszenia „Polska Nuta” w Odessie.

Tytuł Polonijnego Sportowca 2022 otrzymali:

- ✓ Sebastian Bujok (jiu-jitsu)
- ✓ Andrzej Jarus (bieg na 100 km. przez Saharę)
- ✓ Marcin Klonowski (jiu-jitsu)
- ✓ Irena Krakowska-Kaczor (tyżwiarstwo)
- ✓ Stanisław Kret (bilard)
- ✓ Mirosław Lubecki (tenis ziemny)
- ✓ Borys Szuta (tenis stołowy)
- ✓ Marek Ziółkowski (tenis ziemny)
- ✓ Marcin Ziółkowski (tenis ziemny)

Tytuł Za Osiągnięcia Sportowe Na Przestrzeni Lat otrzymali:

- ✓ Kamil Handzel (jiu-jitsu)
- ✓ Andrzej Michalski (badminton, racketlon, tenis ziemny)
- ✓ Dominik Proszek (jiu-jitsu)
- ✓ Michał Stryszowski (osiągnięcia sportowe i charytatywne w akcji „Główkujemy po Europie”)

Tytuł Polonijnego Trenera 2022 Roku otrzymał:

- ✓ Paweł Kozłowski (osiągnięcia trenerskie w jiu-jitsu)

Tytuł Polonijnej Drużyny 2022 Roku otrzymali:

- Zwycięzcy I Biegu o Puchar Ambasador RP w Austrii:
- ✓ Maja Handl,
- ✓ Monika Nowak,
- ✓ Łukasz Molczyk,
- ✓ Martin Pijanowski,
- ✓ Oskar Rzońca,
- ✓ Maksymilian Wajda,
- ✓ Laura Wzyńska.



Jak znaleźć partnera



Tym razem chcę napisać o telefonie pani, która zadzwoniła z problemem, iż pomimo swoich 36 lat nadal jest singielką i nie może znaleźć swojego życiowego partnera.

Elwira Dubas

niż „jestem sama i tak bardzo chcę znaleźć partnera”. Fakt, że ktoś żyje solo, nie jest tu kluczowy. Liczy się to, że ktoś chce coś robić, a nie ma z kim. Wtedy nie tworzy się „sztucznego spędu” samotnych, tylko daje sposobność do tego, aby przeżyć wspólną przygodę. Dlatego bardziej sprawdzają się wyjazdy, wycieczki ukierunkowane, aby aktywnie spędzać czas, a przy okazji poznawać ludzi.

„Odpuść sobie, nie napinaj się tak” to działa lepiej, choć single nie chcą tego słyszeć. Nie jest dobrze, gdy człowiek ma desperację wypisaną na twarzy. Jeśli ktoś chce być z kimś szczęśliwy, musi być szczęśliwy sam ze sobą. Dlatego lepiej opuścić sobie samo szukanie i zwyczajnie zająć się tym, co się lubi. Może to być również praca. A właśnie paradoksalnie w pracy spędzamy często po 8–10 godzin dziennie i tam możemy spotkać kogoś, z kim będziemy mieli wspólne tematy, zainteresowania. To wbrew pozorom często „świetne pole matrymonialne”. Nie chodzi tylko o kolegę z pracy, którego często się nie dostrzega – to również wyjścia branżowe, spotkania biznesowe, konferencje. Szczególnie gdy nasz zawód jest pasją, istnieje szansa na spotkanie kogoś, z kim znajdziemy wspólne tematy i środowisko. To dobra opcja dla nieśmiały.

Myślę sobie jednak, że najważniejsza rzecz, aby skutecznie znaleźć partnera, to zrobić w sobie miejsce na nowy związek. Bez tego nic się nie zmieni. Aby to osiągnąć, należy najpierw dojść do ładu ze swoimi emocjami, gdyż większość singli tak na-

prawdę czuje lęk przed nieudanym związkiem. Ale przychodzi moment, kiedy – tak jak ta dzwoniąca do mnie podczas dyżuru kobieta – chcą rozwikłać zagadkę: czemu pomimo tego, że nic mi nie brakuje, jestem atrakcyjna i nie chcę być sama, to wciąż nie mam nikogo? Jaki jest w tym mój udział? Te kobiety są już zmęczone powtarzaniem, że nie ma wokół fajnych mężczyzn lub że nie są stworzone do związku.

Gdy zapytałam krótko o rodzinę mojej rozmówczynie, okazało się, że gdzieś bardzo głęboko bała się powtórzyć scenariusz rodzinny, gdzie jej mama była nieszczęśliwa w małżeństwie. Jak sama stwierdziła po chwili: „Właściwie to szukałam tak, by nie znaleźć. Stawiałam poprzeczkę na olimpijskim poziomie, wychwytywałam wady, byłam podejrzliwa, a gdy kandydat spełniał wymagania, szukałam dowodów na to, że jednak się nie nadaje, albo sama coś psułam”.

Nie wiem, jak potoczą się dalsze losy mojej rozmówczynie. Powiedziała mi, że sama świadomość tego, co odkryła podczas tej rozmowy, jest dla niej bardzo cenna i dużo jej dała. Przede wszystkim zaakceptowała swój strach, zrozumiała go i dała sobie prawo do przeżywania tej emocji, która niejednokrotnie ma podłoże w historii rodzinnej lub zranieniach w poprzednich związkach. Stwierdziła, że teraz zacznie patrzeć bardziej realistycznie, a swoje niebotyczne wymagania ograniczy. Czekaa na „wystarczająco dobry związek”, gdyż rozumiała, że czekanie na ideał jest złudzeniem.

Termin następnego dyżuru psychologicznego:

piątek, 2 czerwca 2023 roku
w godz. 18.00–20.00
pod numerem 0699/136 26 390 bezpłatnych porad udziela mgr Elwira Dubas, psycholog, psychoterapeuta rodzinny i par, trener, Master Coach.

Pomogliśmy czytelnikom



Poniżej zamieszczamy odpowiedzi na niektóre pytania skierowane do polskojęzycznej adwokat, Aleksandry T. Fux, zadane w czasie jej ostatniego dyżuru telefonicznego.

Aleksandra T. Fux

zwolnienie tymczasowe i po okresie trzech lat następuje rewizja sytuacji finansowej. Jeśli uległa ona poprawie, to opłaty te muszą zostać zwrócone sądowi.

W imieniu mojego dziecka wniosłam pozew sądowy przeciwko ojcu dziecka o alimenty. Znajoma, która też już się ubiegała o alimenty, powiedziała, że w jej przypadku był to jakiś inny rodzaj wniosku, a nie powództwo cywilne. Nie wiedziałam o takich różnicach. Co mam w takiej sytuacji zrobić? Czy muszę wszystko ponownie załatwić?

– Pani znajoma miała rację, iż nie wszystkie sprawy, z którymi się zgłaszamy do sądu, są prowadzone w jednym rodzaju postępowania. Prawo postępowania cywilnego różni mianowicie postępowanie cywilne sporne i pozasporne. Należy to do problematyki tzw. dopuszczalności spornego/pozaspornego postępowania cywilnego.

Kryterium rozgraniczenia jest prawne przypisanie sprawy do postępowania pozaspornego według § 1 Ustępu 2 Ustawy o Postępowaniu Niespornym (*Außerstreitgesetz*), do których m.in. należą sprawy alimentacyjne między krewnymi w linii prostej (rodzic–dziecko).

W momencie, kiedy wybrała Pani niewłaściwy tor postępowania sądowego, nie trzeba się obawiać daleko idących konsekwencji. Sąd sam z urzędu podejmuje kontrolę wpływających pism. W Pani przypadku postępowanie zostanie uznane za nieważne, gdyż byłoby prowadzone na niewłaściwej drodze sądowej. Sędzia wydaje w następstwie postanowienie według Art. 40a Normy Jurysdykcyjnej (*Jurisdiktionsnorm*), w którym określa, w jakim trybie ma być załatwiona dana sprawa.

Jeżeli decyzja i ustalenie skutkują przyznaniem jurysdykcji nowemu sądowi, w Pani sytuacji przewidziane jest następujące

postępowanie: w przypadku skierowania z postępowania spornego do postępowania pozaspornego sąd podejmuje reinterpretację pozwu na wniosek pozasporny i kieruje go do właściwego sądu, jeśli dotychczasowy sąd, w którym złożyła Pani wniosek, stał się niewłaściwy.

Gdyby chodziło o odwrotną sytuację, czyli złożenie wniosku pozaspornego w sytuacji, gdzie konieczne jest wniesienie pozwu, przeniesienie do właściwego sądu (jeśli zaistnieje taka potrzeba) nie jest możliwe z urzędu. Wtedy trzeba złożyć odrębny wniosek z prośbą o przekazanie sprawy do właściwego sądu.

Zamówiłam na konkretny dzień tort na urodziny dziecka, który nie został dostarczony na czas. Cukiernia przywozła go następnego dnia domagając się jego odbioru i zapłaty. Ja z oczywistych względów nie jestem już zainteresowana. Czy muszę rzeczywiście zapłacić? Przecież to wina cukierni.

W tym przypadku chodzi o tak zwany „Fixgeschäft”, czyli transakcję/umowę terminową. Jest to taki rodzaj umowy, z której wynika, że wierzyciel nie jest zainteresowany opóźnionym jej wykonaniem. Charakter takiej umowy wyłania się albo z konkretnego ustalenia w umowie, z natury umowy lub jasno rozpoznawalnego jej celu. Jeśli chodzi o konsekwencje prawne zwłoki w przypadku umowy terminowej, to należy rozróżnić, czy chodzi o przepisy Kodeksu Prawa Cywilnego (ABGB), czy o przepisy prawa konsumencijskiego. Według § 919 ABGB umowa terminowa „rozpada” się automatycznie.

W Pani przypadku jednak mamy do czynienia z umową konsumencką, gdyż jedna ze stron jest przedsiębiorcą i zawarła ją w ramach swojej działalności, jak stanowi § 1 Ustawy o Ochronie Konsumentów (KSchG). Ten obszar prawa został niedawno zreformowany (reforma weszła w życie 1 stycznia 2022 r.). Jedną z wprowadzonych nowelizacji obejmuje umowy terminowe. W przypadku transakcji terminowych umowa nie rozwiązuje się automatycznie, w przeciwieństwie do § 919 ABGB, lecz zostaje rozwiązana dopiero po złożeniu przez konsumenta oświadczenia o odstąpieniu od umowy.

Kolejny dyżur prawny: środa, 17 maja 2023 r., od godz. 17.00 do 19.00.

Pod numerem tel. 01/ 205 80 90 bezpłatnych porad telefonicznych udziela polskojęzyczna adwokat mgr Aleksandra T. Fux.

Agenor Gołuchowski

Das Haus-, Hof- und Staatsarchiv ist eine der wichtigsten staatlichen Institutionen in Österreich und befindet sich in einem historischen Gebäude am Minoritenplatz 1. Es ist interessant zu wissen, dass der polnisch-österreichische Politiker Agenor Gołuchowski an der Entstehung dieses Hauses beteiligt war. Seine Person ist auf einem Wandgemälde im Inneren des Gebäudes verewigt.

.....

Stawomir Iwanowski

Im Treppenhaus des Archivs befindet sich ein großes Wandgemälde. Es zeigt Agenor Gołuchowski in Begleitung von Kaiser Franz Joseph I. und Archivdirektor Gustav Winter.

Agenor Maria Adam Graf Gołuchowski (1849-1921), ein galizischer Graf, war ein herausragender Politiker und Außenminister Österreich-Ungarns. Er wird oft auch Agenor Gołuchowski der Jüngere genannt, wegen des gleichen Namens seines Vaters, Agenor Romuald Gołuchowski, der in den Jahren von 1859 bis 1861 Innenminister des Kaisertums Österreich war.

Agenor Gołuchowski leitete das *Ministerium des kaiserlichen und königlichen Hauses und des Äußeren* und bekleidete somit das höchste Ministeramt der Habsburgermonarchie. In den Jahren von 1895 bis 1906, also mehr als ein Jahrzehnt, war er für die österreichisch-ungarische Diplomatie verantwortlich und galt als der beste Außenminister unter Kaiser Franz Joseph I.

Dank der Bemühungen von Gołuchowski, der sich nachdrücklich für den Bau eines modernen Gebäudes einsetzte, um die Sammlungen des Haus-, Hof- und Staatsarchivs unterzubringen, wurde ein solches Gebäude in den Jahren 1899 bis 1902 errichtet. Es befand sich neben dem Sitz des Außenministeriums am Ballhausplatz 2 (heute befindet sich dort das Bundeskanzleramt).

Das Haus-, Hof- und Staatsarchiv

Es ist das bekannteste und angesehenste Archiv in Österreich. Seinen Ruf verdankt es den vielfältigen Sammlungen, die folgende Bereiche umfassen: das Haus Habsburg, die Hofverwaltung und die Außenpolitik.

Das Haus-, Hof- und Staatsarchiv wurde 1749 von Kaiserin Maria Theresia geschaffen. Diese hatte unmittelbar nach dem Tod ihres Vaters, Kaiser Karl VI. Habsburg, keine Dokumente vorlegen können, um ihr Recht auf den Thron zu beweisen. Durch die Gründung eines Zentralarchivs wollte sie derartige Probleme in Zukunft vermeiden. Ihr Recht auf die Thronerbschaft wurde in dieser Zeit von einigen europäischen Monarchen hinterfragt, die behaupteten, ebenfalls einen Anspruch auf den Thron zu haben. Dieser Streit führte zum sogenannten Österreichischen Erbfolgekrieg (1740-1748). Infolgedessen verblieb die Habsburgermonarchie mit Maria Theresia auf dem Thron, verlor jedoch Schlesien an Preußen.

Die wichtigsten Dokumente, die alle Eigentumsrechte der Habsburgermonarchie betrafen, wurden nun aus verstreuten Lagern aus entlegenen Teilen des Landes nach Wien gebracht. Für das neue Archiv, das anfangs „Geheimes Hausarchiv“ genannt wurde und aus einer Sammlung von 13 000 Dokumenten – vorwiegend aus dem Mittelalter – bestand, wurden mehrere Kammern in der Hofburg eingerichtet. Das stetige Wachstum der Sammlungen übertraf bald die Kapazität der dafür vorgesehenen Räume. Um dieses Problem zu lösen, wurden in der Hofburg weitere Aktenlager angelegt. Oft waren diese jedoch völlig ungeeignete Orte, z.B. ohne Brandschutz, mit falscher Temperatur oder schlechtem Raumklima.

Das neue Archivgebäude

Aufgrund des zunehmenden Platzmangels für die neuen Akten musste das Ar-

chiv in den ersten 150 Jahren stets nach geeigneten Räumlichkeiten suchen. Erst unter Kaiser Franz Joseph I. beschloss das Außenministerium, ein neues Gebäude zu errichten. Als Standort dafür wurde der Minoritenplatz gewählt. Für den Bau des neuen Archivs wurden mehrere Gebäude abgerissen: ein Teil des Minoritenklosters, das ehemalige Gerichtsgebäude und mehrere Privathäuser. Das neue Haus-, Hof- und Staatsarchiv wurde zwischen 1899 und 1902 erbaut und war eines der modernsten Archivgebäude der Welt.



Nach Abschluss der Bauarbeiten wurde das Innere mit Kunstwerken ausgestattet. Da sich das Archiv mit den Angelegenheiten der Monarchie befasste, sollte sich dies auch in seiner Dekoration widerspiegeln. Außenminister Agenor Gołuchowski kümmerte sich persönlich darum. In einem Brief vom 2. August 1902 an den österreichischen Ministerpräsidenten Ernest von Koerber schrieb er: *Um die endgültige würdige Ausstattung dieses monumentalen Gebäudes zu gewährleisten, wäre es dringend wünschenswert, mehrere Kunstwerke darin unterzubringen. Ich habe dementspre-*

chend vorgeschlagen, eine Marmorbüste Seiner Majestät, unter dessen glorreicher Herrschaft dieses neue Gebäude errichtet wurde, in der Nische des ersten Treppennabsatzes des Haupttreppenhauses zum Preis von ca. 6 600 K, ein von einem Putto getragenes Medaillon oder eine Büste Ihrer Majestät der Kaiserin und Königin Maria Theresia, der Gründerin des Archivs, zum Preis von ca. 20 000 K beim Eingang im Erdgeschoss hinzustellen und schließlich zwei Gemälde, die die beiden Gründungsphasen des Archivs darstellen, an den

höchsten Seitenwänden des Treppenhauses zum Preis von ca. 10 000 K anzubringen.

Der Auftrag, diese Wandgemälde anzufertigen, wurde an den bedeutenden Künstler Carl Peyfuss erteilt. Er malte drei Bilder für das Archiv: das Portrait der Kaiserin Maria Theresia, den Moment der Archivgründung im Jahr 1749 sowie den Besuch von Kaiser Franz Joseph I. im Haus-, Hof- und Staatsarchiv.

Der Besuch des Kaisers Franz Joseph I.

Am 18. April 1904 fand der feierliche Besuch von Kaiser Franz Joseph I. im Haus-,

Hof- und Staatsarchiv statt. Nachdem der Außenminister Agenor Gołuchowski den Kaiser begrüßt und ihm den Archivdirektor, Gustav Winter, vorgestellt hatte, begann der Kaiser das neue Archiv zu besichtigen und trug sich anschließend ins Gästebuch im Direktorzimmer ein.

Peyfuss stellte sein Gemälde im Mai 1908 fertig. Jede der dargestellten Personen wurde zunächst in der Pose fotografiert, in der sie später auf dem Gemälde dargestellt wurden. Das erleichterte die Arbeit des Künstlers.

Das farbenfrohe Fresko zeigt in der Mitte den Kaiser mit grünem Federhut, ihm gegenüber steht der Archivdirektor Gustav Winter und zwischen ihnen der Außenminister Graf Gołuchowski. An den Seiten stehen die Mitglieder des Hofes (rechts hat sich auch der Maler verewigt) und die Mitarbeiter des Archivs. Es ist interessant

zu wissen, dass nicht alle auf dem Bild dargestellten Personen beim Besuch des Kaisers tatsächlich anwesend waren. Einige Mitarbeiter des Archivs konnten nicht am Empfang teilnehmen, weil sie keine entsprechende Kleidung besaßen. Der rechts im Bild stehende Prälat war aus Krankheitsgründen nicht anwesend gewesen.

Die Sammlungen des Archivs

Im Laufe seiner Geschichte hat das Gebäude größere Schäden vermeiden können. Auch während des Zweiten Weltkriegs, als eine Bombe in das Nachbargebäude, wo sich heute das Bundeskanzleramt befindet, einschlug, blieb das Archiv verschont.

1983 wurde das Österreichische Staatsarchiv neu organisiert. Die Sammlungen der offiziellen Akten wurden nach dem Prinzip „Monarchie oder Republik“ mit dem Grenzjahr 1918 getrennt. Alle Akten, die nach diesem Jahr entstanden sind, wurden in das neu geschaffene *Archiv der Republik* übergeben, dessen Sitz sich in der Notendorfer Gasse 2-4 im 3. Gemeindebezirk Wiens befindet. Dieses übernahm die laufende Sammlung von archivierungswürdigen Unterlagen. Das ehemalige Haus-, Hof- und Staatsarchiv am Minoritenplatz wurde somit zur Abteilung rein historischer

Archive, deren Sammlungen mit dem Jahr 1918 enden. Neuanschaffungen für das Archiv gibt es erst bei Erhalt eines Angebots, das die Bestände wesentlich ergänzt. Sie werden dann in Form einer Spende, als Depositum oder durch Kauf in die Sammlung aufgenommen.

Die Bestände des Haus-, Hof- und Staatsarchivs umfassen heute 130 000 Kartotheken und Ordner, 75 000 Dokumente verschiedener Arten, 15 000 Landkarten und Pläne sowie etwa 3 000 Manuskripte. Das älteste erhaltene Dokument, die Urkunde von Kaiser Ludwig dem Frommen, stammt aus dem Jahr 816. Das Archiv besitzt eine umfangreiche Sammlung, die den Zeitraum von 816 bis 1918, also über 1 000 Jahre österreichischer Geschichte, abdeckt und bewahrt somit wertvolle Zeugnisse der Geschichte Mitteleuropas für künftige Generationen auf.

In der Sammlung des Archivs befinden sich viele Originaldokumente mit Bezug zu Polen, darunter auch das am 31. März 1683 in Warschau verfasste Dokument zur Ratifizierung des polnisch-österreichischen Bündnisses gegen das Osmanische Reich, dessen Folge die Befreiung von Wien war. In der Sammlung befinden sich ebenfalls Dokumente zu den Teilungen Polens, u.a. der Vertrag über die erste Teilung Polens, der von Maria Theresia und der russischen Kaiserin Katharina II. unterzeichnet wurde und durch den Österreich Ostgalizien und Lodomerien erhielt. Es gibt auch ein Protokoll des Wiener Kongresses vom 30. Dezember 1814, das die neue Aufteilung der polnischen Länder zwischen Preußen, Österreich und Russland betrifft und auf dessen Grundlage die neuen Grenzen des Königreichs Polen festgelegt wurden. Ebenfalls interessant ist eine in deutscher und polnischer Sprache verfasste Schrift aus dem Jahr 1912, die von Karol Wojtyła, dem Papst Johannes Paul II., stammt. In dieser bittet er um eine Anstellung als Beamter. Erwähnenswert sind außerdem die Urkunde vom 31. Mai 1887 über die Titelverleihung zum Ehrendoktor (lat. doctor honoris causa) in Philosophie an der Universität Krakau und das Dokument vom 18. August 1887 über die Verleihung des Ehrenzeichens von Kaiser Franz Joseph I. für herausragende Verdienste in der Kunst, die der polnische Maler Jan Matejko erhalten hat.

Das über 100 Jahre alte Gebäude des Haus-, Hof- und Staatsarchivs erfüllt weiterhin seinen Zweck: das Erbe der Vergangenheit für künftige Generationen zu bewahren.

Deutsche Übersetzung:
Barbara Pocięcha

Chirurg z Polski



fot. Marek Prusowski

Dr Paul Pointinger jest specjalistą chirurgii plastycznej, prowadzi gabinety lekarskie w Wiedniu i Salzburgu. Polscy pacjenci reagują miłym zaskoczeniem na fakt, że jest on Polakiem i oczywiście mówi znakomicie po polsku, chociaż jego nazwisko „brzmi austriacko”.

Przypadkowa emigracja

Wyjazd do Frankurtu 12 grudnia 1981 roku, a więc tuż przed stanem wojennym, sprawił, że 19-letni wówczas Paul został w Niemczech, bojąc się wcielenia do wojska i szykan po powrocie do Polski.

Z Niemiec wraz ze swoją narzeczoną pojechali do jej matki, która pracowała w Nigerii. Młodzi ludzie myśleli o podjeździe studiów, a ponieważ Ameryka była za droga, wybrali Europę, a w Europie Belgię, bo tam mieli znajomych.

W budynku, w którym mieściły się biura różnych państw, pomylili piętra. I zamiast w biurze belgijskim, znaleźli się w... austriackim. Urzędnik bez trudu przekonał ich, że powinni pojechać do Austrii, bo przecież tam są góry, których nie ma w Belgii!

W ten sposób w lipcu 1982 wylądowali w Wiedniu – i na następną dzień rozpoczęli kursy języka niemieckiego.

Medycyna w Wiedniu

Paul był po wrocławskim liceum o profilu matematyczno-fizyczno-chemicznym. We Wrocławiu zdawał na medycynę, na którą zabrakło mu... jednego punktu.

W Wiedniu bez trudu dostał się na swój wymarzony kierunek, który ukończył w 1991 roku, po czym zrobił specjalizację z chirurgii ogólnej oraz z chirurgii plastycznej. Mając do wyboru pozostanie w szpitalu lub otwarcie własnego gabinetu, zdecydował się na tę drugą możliwość, chociaż obarczona była ona sporym ryzykiem. Wszystko się powiodło: pacjenci się pojawili.

Chirurg plastyczny

Dr Paul Pointinger nieustannie podkreśla, jak dużą satysfakcję daje mu praca chirurga plastycznego. Zdradza nieco szczegółów swojego zawodu, zaznaczając ogromną rolę współpracy z anestezjologiem. Optymalne dobranie narkozy sprawia, że pacjent po operacji może od razu pojechać do domu, chociaż większość lekarzy nie może sobie wyobrazić, że to możliwe. On sam przekonał się o tym naocznie, gdy obserwował pacjentów pewnego chirurga plastycznego z Argentyny, którego pacjenci w kilka godzin po przebytej operacji na plastykę brzucha, wsiadali do taksówek. Wtedy uwierzył, że bezbłędnie dobrana narkoza działa cuda.

Najczęstsze zabiegi

Coraz więcej pacjentek i pacjentów korzysta z zastrzyków z botoksu i kwasu hialuronowego, jednak dr Pointinger zdradza, że najczęstszymi operacjami, które wykonuje, są korekty piersi. Na przykład powiększanie piersi trwa około 30 minut i już po godzinie pacjentki mogą opuścić klinikę. Do częstszych chirurgicznych zabiegów należą: odsysanie tłuszczu, korekta powiek lub facelift, jak również wszystkie

operacje, na które pacjenci się decydują z bardzo banalnego powodu: czas nie oszczędza nikogo z nas. Wielu pacjentów zgłasza się też na zabiegi korekty obwisłej skóry po szybkiej utracie wagi.

Nowoczesne metody

W swojej klinice dr Pointinger wykonuje wiele abdominoplastyk, korekt ramion czy ud. Posługuje się wtedy zmodyfikowaną przez niego metodą Avelar. Polega ona na tym, że przez celowe i dokładne znieczulenie lokalne udaje się podać pacjentom optymalną dawkę narkozy i tym samym pozwolić im na szybką rekonwalescencję.

Z powodzeniem realizuje też metodę tzw. operacji łączonych. Wiele osób, które straciły szybko na wadze, ma problem z nadmiarem skóry, zarówno na brzuchu, jak i na rękach, nogach czy na twarzy. W ten sposób za jednym razem korygowane jest wszystko, co jest możliwe, a jednocześnie oszczędza się na czasie rekonwalescencji.

Dr Pointinger podkreśla, jak ważne dla niego jest, aby pacjent po zabiegu wyglądał naturalnie, gdyż, jak twierdzi, istotne jest, aby poprawić coś, ale nie zmienić. Jego pacjenci doceniają to, że wyglądają znacznie lepiej, chociaż wcale nie są zmienieni.

Zdrowotne przyczyny wizyt

W klinice dr. Pointingera jest coraz więcej pacjentów z nadwagą. A nadwaga jest znakiem naszej cywilizacji, dlatego też rozwinęła się taka dziedzina medycyny jak bariatryka, zajmująca się leczeniem otyłości, w tym także metodami chirurgicznymi jak np. pomniejszenie żołądka czy założenie bajpasów. Po takim zabiegu pacjenci mogą schudnąć aż 100 kilo. Wtedy jedynym sposobem pozbycia się nadmiaru skóry jest chirurgiczne jej usunięcie. Po tym zabiegu pacjenci pozostają najczęściej jedną noc w szpitalu.

Dla wielu pacjentów jest to bardzo zaskakujące, że jest to w ogóle możliwe po tak krótkim pobycie w szpitalu i że można taki zabieg wykonać nawet w warunkach ambulatoryjnych.

Dr Pointinger przeprowadza też zabiegi z chirurgii rekonstrukcyjnej, np. po wypadkach czy po przebytych raku piersi, gdy należy przywrócić poprzedni wygląd usuniętej piersi.

Polski blues

Cała trójka dzieci dr. Pointingera chciała zostać lekarzami. Udało się to tylko córce, która mieszka w Krakowie i jest lekarzem rodzinnym. Jeden z synów został informatykiem, drugi fizjoterapeutą.

On sam chętnie bywa w Polsce, bardzo lubi odwiedzać Góry Sowie.

Ma sporo pacjentów z Polski, z którymi – tak jak ze wszystkimi innymi zresztą pacjentami – stara się być cały czas w kontakcie, np. na WhatsApp. Stara się być przystępny dla pacjenta, być dla niego bezpośredni.

Ceni sobie kontakt z rodakami z Polski, bo, jak mówi: *jestem jednym z nich i wiele nas łączy, bo wspólnie czujemy tego przysłowiowego bluesa.*

reklama

POINTINGER Studios

Mało kto wie, że dr Paul Pointinger jest z pochodzenia Polakiem. Studiował medycynę w Wiedniu, gdzie zrobił dwie specjalizacje: chirurgia plastyczna i chirurgia ogólna. Coraz więcej polskich pacjentów jest miło zaskoczonych tym, że mogą mieć kontakt z doskonałym specjalistą w ich języku ojczystym.

Piękno przy zastosowaniu subtelnych metod. Dr Paul Pointinger, chirurg plastyczny, oferuje szeroką gamę usług z zakresu medycyny estetycznej, stosując łagodne metody leczenia – bez bólu, bez konieczności pobytu w szpitalu i przerwy w pracy zawodowej.

Najczęściej to właśnie strach przed pooperacyjnymi ograniczeniami stoi na przeszkodzie w dążeniu do uzyskania zgrabnej sylwetki i doskonałych proporcji ciała. Tym samym osoby zainteresowane pozbawiają się szansy na poprawę komfortu życia. Konwencjonalne zabiegi usuwania uciążliwego nadmiaru tłuszczu i zwiotczałej skóry, a także operacje piersi prawie zawsze wiążą się z bolesnymi skutkami ubocznymi. Jednak w niemal wszystkich przypadkach można ich uniknąć, o czym zaświadcza długoletnie doświadczenie dr. Paula Pointingera.

ZMODYFIKOWANA TECHNIKA AVELARA

Dzięki tej specjalnej metodzie odsysanie tłuszczu oraz korekcja piersi można przeprowadzić w warunkach ambulatoryjnych i bez dyskomfortu dla pacjenta. Przy użyciu roztworu tumescencyjnego tkanka tłuszczowa jest znieczulana i następuje zwężenie naczyń krwionośnych, co minimalizuje ból oraz ryzyko krwawienia pooperacyjnego i eliminuje konieczność zastosowania nieprzyjemnych drenów. Zaleta: z nielicznymi wyjątkami zabieg można przeprowadzić bez znieczulenia ogólnego – wystarczy wprowadzenie pacjenta w delikatny półsen. Wkrótce po operacji czu-

je się on na tyle rześko, że może opuścić klinikę i cieszyć się życiem bez bólu. Umiejętne nacięcie oraz – w zależności od rodzaju zabiegu – niewielkie blizny, a nawet ich brak jest dopełnieniem całości.

OPERACJE ŁĄCZONE

Ze względu na bezproblemową procedurę chirurgiczną, coraz większą popularnością cieszą się operacje łączone, które dodatkowo pozwalają pacjentom zoszczędzić czas. Dr Pointinger oferuje różne kombinacje zabiegów. Szczególnie popularne są korekcje piersi z jednoczesną plastyką brzucha i ramion oraz wszelkiego rodzaju zabiegi na twarz. Warto wiedzieć, że podniesienie piersi może być zwykle połączone z powiększeniem piersi, również bez użycia implantów.

DLA TWARZY

Zakres zabiegów obejmuje zarówno lifting twarzy i korektę powiek, jak również iniekcje przeciwzmarszczkowe z użyciem botoksu, kwasu hialuronowego i liftingu niemi lub miniliftingu.



KONSULTACJE OSOBISTE

Dla dr. Pointingera najważniejszy jest bezpośredni kontakt z pacjentami, którym poświęca wiele czasu, udzielając szczegółowych informacji, i dla których jest dostępny osobiście, od pierwszej konsultacji po ostatnią wizytę kontrolną (także zdalnie: telefonicznie lub w trybie wideo).

Dr Paweł Pointinger
Specjalista ds. chirurgii plastycznej
Gabinety lekarskie:
1190 Wien, Sandgasse 38
5020 Salzburg, Reichenhaller Straße 7
Tel. + 43 676 518 99 54
pointinger@gmail.com
www.dr-pointinger.com



POINTINGER Studios

Piękno przy zastosowaniu subtelnych środków.

Dr Paul Pointinger,
chirurg plastyczny,
oferuje szeroki zakres
zabiegów medycyny estetycznej,
stosując łagodne metody leczenia -
bez hospitalizacji,
ból i przerwy w pracy.



Dr. Paul Pointinger
FACHARZT FÜR PLASTISCHE CHIRURGIE

- lifting twarzy i szyi
- abdominoplastyka
- powiększanie piersi z implantami
- podniesienie piersi
- zmniejszenie piersi
- korekta powiek
- korekta zmarszczek (botoks, kwas hialuronowy, nici PDO)
- plastyka obwisłej skóry ramion
- plastyka obwisłej skóry ud
- korekta miejsc intymnych
- odsysanie tłuszczu

**Wszystkie operacje
możliwe również w warunkach
ambulatoryjnych
i bez pełnej narkozy!**



DR PAWEŁ POINTINGER

Specjalista ds. chirurgii plastycznej
Urodzony w Polsce, chętnie obsługuje pacjentów
także w swoim ojczystym języku polskim.



Gabinety lekarskie:

1190 Wien, Sandgasse 38
5020 Salzburg, Reichenhaller Straße 7
Tel. + 43 676 518 99 54
pointinger@gmail.com
www.dr-pointinger.com

Porady
można uzyskać
także
w weekendy!